Numer 22. Nalsż. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 31 Maja 1931**



ROLA

Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dobra potrawa.

— Jaką potrawę lubisz najlepiej?

— Kapustę, bo ile razy ją jem na obiad, to na drugi dzień jestem tak chory, że nie mogę iść do szkoły.

Dobre przygotowanie.

ks. proboszcz mówi do pary narzeczonych: Jest to krok nader ważny, jaki obecnie robicie i wpływa stanowczo na całe wasze życie doczesne, a i na zbawienie duszy waszej! Czyście się więc dobrze na ten uroczysty akt przygotowali?

Narzeczony: A jakże proszę jegomości. Jużeśmy zabili i cielaka i wieprza i czterdzieści gęsi.

Chybiony skutek.

— Wiesz co — mówi Wojciech do swego kolegi — miałem dziś nader piękny sen.

— Tak, i cóż ci się śniło?

— Śniło mi się, żeś mi wreszcie oddał 20 złotych, którem ci już dawno pożyczył.

— Rzeczywiście, zachwycający sen, który mi dodaje odwagi prosić cię o pożyczenie jeszcze 10 złotych.

Nie dał sobie zaimponować.

— Mój dziadek umarł, mając lat 90, przechwalał się jeden.

— Moja babka umarła w setnym roku życia, odpowiada drugi.

— A w mojej rodzinie są tacy, którzy dotąd jeszcze żyją — zawołał triumfująco trzeci.

Dowcipny.

Pewien gospodarz wiezie wielką furę zboża przez miasto. Naraz konie szarpnęły w bok, wskutek czego fura się przewróciła:

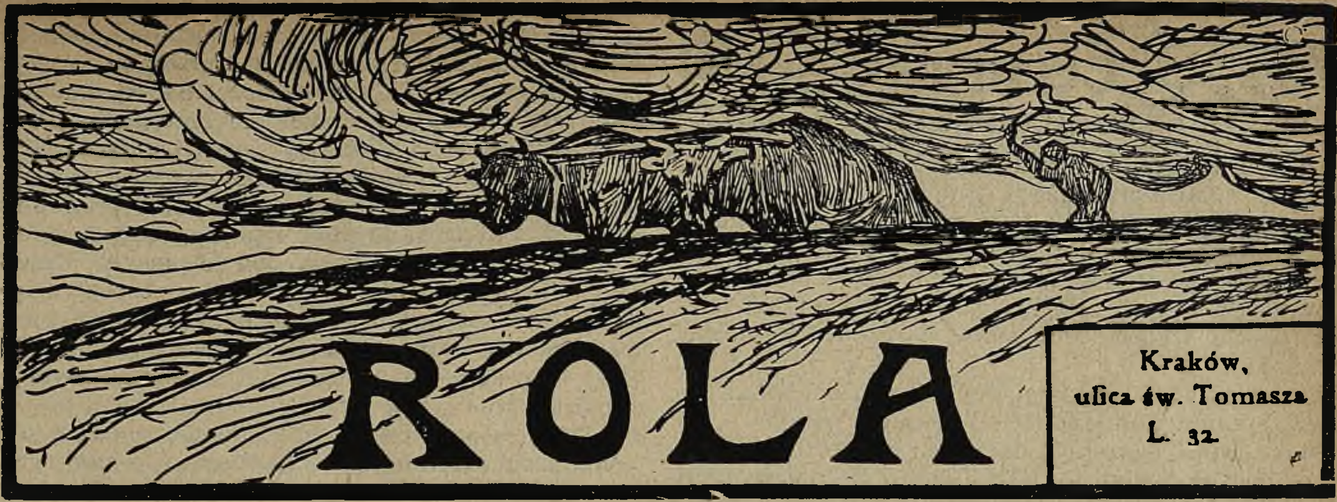
— Dla Boga — wrzeszczy głośno chłopek — mój synek mi się udusi, on jest pod snopami!

Na ten wrzask wszyscy ludzie biegną z pomocą, nawet żołnierze i policjanci. Na gwałt rzucają zboże z powrotem na wóz, gdzie chłopek stoi i zaraz je układa, lecz gdy wszystkie snopki już na wozie leżały, przekonali się wszyscy ze zdumieniem, że synka nigdzie niema.

— Cóż to, a gdzie synek? — pyta wszystko.

— W domu! — odpowiada figlarz chłopek, a zaciąwszy konie, wesoło odjechał.

Numer 22. Rok XIV. Kraków, dnia 31 maja 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 408.381 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

W jedności siła.

Ciężkie czasy przeżywamy teraz na świecie, ale przeżywamy je nietylko my, lecz przesilenie gospodarcze rozwielmożniło się po wszystkich krajach, nie wyłączając nawet najbogatszych. Narzekają rolnicy tak wielcy, jak i mali, narzekają kupcy i przemysłowcy, narzekają urzędnicy i robotnicy, ba nawet dziad narzeka, gdyż niema mu kto udzielić wsparcia, gdyż u wszystkich bieda. Rolnik, uprawiający zboże, nie otrzyma za produkt swej pracy nawet tyle, ile go ta praca kosztowała, niema więc pieniędzy na zakupno przedmiotów, które produkuje przemysłowiec i fabrykant. Ten, nie mając zaś zbytu na swe wyroby, ogranicza coraz bardziej wytwórczość swojego przemysłu, redukuje ilość robotników, a ci wytwarzają coraz większe masy bezrobotnych. Rząd, nie mając zwykłych wpływów podatkowych, tak bezpośrednich, jak i pośrednich (ludzie mniej palą i piją, mniej korespondują, mniej jeżdżą kolejami itp.), ucieka się z konieczności wprawdzie, ale do środka najmniej odpowiedniego, bo do obniżenia poborów urzędniczych, a to znów prowadzi do dalszego zastoju w handlu, przemyśle i rzemiośle, a cierpią na tem nietylko urzędnicy, ale całe społeczeństwo.

I tym sposobem wytwarza się jakieś błędne koło, z którego wyjście zdaje się pozornie niemożliwe. — A tak dzieje się nietylko u nas, lecz niemal w całym świecie. Jest tylko ta różnica, że narody skonsolidowane, nie wiodące wzajemnych sporów wewnętrznych, prędzej dadzą sobie z tym kryzysem radę, podczas gdy narody rozdwojone będą musiały jeszcze może długie lata borykać się z nędzą, jaka teraz wszędzie zapanowała.

A my cóż robimy w tych ciężkich czasach? Otożremy się, jak za czasów najlepszych. Przeczytajmy nasze gazetki polityczne. Pełno tam w nich ujadań na rząd, na inne stronnictwa, które nie idą pod tym sztandarem, jaki dana gazetka reprezentuje. Posłuchajmy przemówień na wiecach. Czy znajdziemy w nich jakąś myśl twórczą, jakieś lekarstwo na ogólną chorobę teraźniejszych czasów? Broń Boże! Najwyżej usłyszymy, że ten to i tamto źle robi, ale nikt nam nie powie, co i jak robić, aby było dobrze. I sprawdza się to, co powiedział wielki nasz powieściopisarz Józef Ignacy Kraszewski: „Do krytyki piórek las, do roboty jeszcze czas!“ O, my znakomicie umiemy krytykować innych, ale nigdy siebie.

A tymczasem właśnie powinniśmy zacząć od krytyki samych siebie, powinniśmy wyrzucić z serc i umysłów naszych naszą największą wadę narodową, jaką jest wzajemne się żarcie pomiędzy sobą, a wyrzuciwszy ją, powinniśmy się skupić do wspólnej pracy nad naszem podniesieniem się materjalnem i moralnem. Bo w jedności tylko siła i przez jedność w narodzie prowadzi droga do dobrobytu.

Nie znaczy to, abyśmy nie mieli zupełnie krytykować innych: czy to rządu, czy ludzi, nie należących do naszego obozu. Owszem krytykujmy ich, bo krytyka jest nietylko potrzebną, ale nawet konieczną, ale jeżeli krytykujemy czyjeś poczynania, to przeciwstawiajmy im zawsze nasze lepsze plany, to krytykujemy ich bezwarunkowo z myślą o dobru naszej Ojczyzny i całego społeczeństwa. Samo ujadanie na bliźnich dla ujadania jest zbrodnią wobec tych, przeciw którym występujemy, ale i niemniejszą zbrodnią wobec nas samych.

A we wszystkich naszych poczynaniach dążmy do zjednoczenia całego narodu w walce z kryzysem gospodarczym, a przezwyciężymp go, bo w jedności siła niespożyta.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Po chwili zadniestrzańskie równiny namiotami zakwitły. Tulipany, róże i lilje wyrastały z ziemi i zapełniały przestrzenie, lecz nad wszystkimi górował seledynowy namiot Skinder-baszy, przy którym na warcie czarni rzezańce stanęli, a zielona chorągiew o półksiężycu złotym w poważny pląs z wiatrem poszła, złotymi chwastami wiejąc ku granicom Lechistanu.

— Czy tu ich zaprosim, czy do nich pójdziem? — rzucił pytanie Żółkiewskiemu hetman polny.

Lecz wódz naczelny zdawał się nie rozumieć pytania. Rozkaz wydał, by nikt z obozu się nie wydalał i zagroził, że najlżejszy nieposłuch szubienicą karany będzie.

Noc zapadła, lecz nie była to noc taka, jak wszystkie poprzednie. Poza plecyma wojsk, w kilku naraz miejscach, błysnęły łuny krwawe. Pas koralowy rozszerzał się, pierścień łun obiegał widnokrąg, jak gdyby miał jedną falą ognia zapłonąć i rzucić się wielkim pożarem na obozowisko polskie.

To hulał straszny Kantemir, paląc wsie i siedziby ludzkie.

Widocznem teraz było, że w dniu przybycia wojsk Skinderowych ku granicom polskim, groźny murza miał rozporządzenie rozpoczęcia pochodów krwawych i zostawiania zglisżcz, a popiołów za sobą. Najbystrzejsza przezorność wodza przeszkodzić napadom podobnym nie mogła. Na lotnych koniach tatarstwo rozpraszało się po stepie, że ani zgonić, ani zatrzymać nie sposób było. Groźnym był ordyńcom Stefan Chmielecki, bo ich sposobem wojował: rozpraszał się, w pojedynkę chwytał, do kupy zbijał i mordował. Teraz z pomocą potędze otomańskiej wystąpił „Miecz krwawy". Nie zmógł go nikt jeszcze, nikt jeszcze nie przewidział, kiedy wystąpi i gdzie uderzy. Dziś jest tutaj, a jutro o mil sto. Jak wąż newidzialny prześlizgnie się pomiędzy czatami i „Ałła!" pod samym obozem huknie. Zabieżysz mu drogę, a on się pod ziemię skryje; do brodu przyprzesz, a on w wilgotną mgłę się zamieni, błędnym ognikiem po moczarach wić się będzie. Szybki jak wiatr, nieuchwytny jak cień, grozę i postrach szerzy, a przed nim idzie śmierć, a za nim płynie krew. Nie było człowieka, któregoby w ręku swym miał, a żywcem puścił. Nasyci się pierwej męczeństwem ofiary, a potem — zabije! Nie był władcą udzielnego państwa, jak Dżingis-Chan lub Baty, a równe im imię po sobie zostawił. Przezwano go „Mieczem krwawym" i on tę nazwę z chlubą przyjął, nie dając jej zaprzeczyć ni razu. Dziś, gdy wojska Skinder-baszy przed Dniestrem stanęły, on, jak duch niewidzialny, za Dniestr przeszedł i niebo czerwonymi ogniami zapalił.

— Kantemir! — wzdłuż obozu szmer przeszedł.

Nie języka tu trzeba zasięgnąć było, lecz rzucić jazdę lekką, która nietylko czoło strasznemu murzy stawićby umiała, lecz podejść go mogła i do boju zmusić. Wiedział jednak hetman, z jakim to wrogiem do czynienia miał, wiedział, że niczby nie wskórał, a siły rozprószył, gdyby uległ naleganiom wodzów niektórych i wiatr w polu gnał.

Na dzień drugi zagrały armaty, a było to coś w rodzaju powitania dwóch wojsk przyjaznych, nie boju zapowiedź. Potęgi dały znać o sobie hukiem dział; każda z nich powiedziała: jestem! i zdawały się namyślać nad przedmiotem rozmowy dalszej. — Siły główne dwóch obozów nie przekraczały wstęgi błękitnej Dniestru, jeno za zezwoleniem starszyzny wysuwały się kupki niewielkie zbrojnych, przechodziły w bród rzekę i ścigały się na ostrze.

W onych zapasach przedbitewnych, rycerstwo polskie odnosiło zwycięstwo. Niejeden łeb otomański białkami oczu błysnął i po nagrodę do proroka poszedł, bluzgała krew po obu stronach Dniestru, chęć walnego spotkania się rosła, coraz większe oddziałki następowały na siebie, ale surmy i bębny milczały tak po muzułmańskiej jak i polskiej stronie. Były to próbne boje, mierzenie się sił pojedynczych, zapoznawanie wzajemne.

Zachciało się raz i panu Plichcie zmódz z jakimś niechrzceńcem i jakiegoś godnego rycerza wyzwać. Porozumienie się ułatwił Gil-Gułła, wodzowie zgodzili się i zapaśnicy obrali po drugiej strone Dniestru miejsce na spotkanie. Przez rzekę przeszedł dość znaczny oddział rycerstwa; Kopyciński ze swoimi „ptaszkami" i kniaź Korecki panu Konstantemu towarzyszyli, nawet Kurzański się wybrał i Halszki wspomnieniem dodawał ochoty panu rotmistrzowi. Na brzegu polskim Żółkiewski stał, na mołdawskim — Skinder-basza.

Gdy bród przebyli, w szeregach muzułmańskich rozruch się zrobił, ale nie pan Plichta był tego pogwarku powodem, lecz pan Szymon Kopyciński z „ptaszkami" swoimi, siedzący na koniu, dorównywającym niemal wielbłądowi Skinder-baszy! Z podziwem na wielkoluda osmanowie patrzyli, sam Skinder-basza językiem mlasnął i zwrócił się do otoczenia swojego.

— Jakby ten Lach wspaniale na palu wyglądał!... — rzekł, cmokając.

Tymczasem z szeregów muzułmańskich na lekkim, arabskim rumaku, wyjechał rycerz saraceński w zbroi pozłocistej, z królewskiego rodu Tareków i „salam" przed Plichtą uczynił. Wpierw mieli kopie skruszyć, a później do szabel się wziąć. Zwycięzcy przysługiwało prawo do zbroi, konia i całego rynsztunku pokonanego. Świetny był rząd saracena i Plichta błysnął klejnotami.

Zapaśnicy zaczęli dokoła objeżdżać, jakby się badali wzajemnie. Dwa orle spojrzenia nie schodziły z siebie na jedno mgnienie powieki. Plichta wzrostem współzawodnika przewyższał, potomek Tareka szerokością piersi; obaj zdawali się równą siłę mieć i pewność zwycięstwa. Tak krążąc, jak sępy, zanim szponami się zewrą, rozdrażniali siebie przeczuciem śmiertelnego boju i rośli nadzieją otrzymanej wiktorji, chwałą zwycięstwa w obliczu dwóch wojsk patrzących.

W Plichcie zaczynała krew kipieć, a kopia drżeć w niespokojnej dłoni, saracenowi pycha rozdymała policzki, a gniew na zgrzytających zębach siadł. Nagle spięli konie i odsadzili się od siebie, a na dane hasło przez samego Skinder-baszę, zwrócili je w pewnym oddaleniu ku sobie i opuszczając kopie na wysokość uszu końskich, jak dwie gromowe chmury, runęli.

Rycerstwo polskie i muzułmanów szeregi dech wstrzymały. Kilkanaście tysięcy piersi oddychało dokoła, a szmeru żadnego nie było słychać. Skinder-basza na swoim białym wielbłądzie się uniósł, z drugiej zaś strony Dniestru Żółkiewski dłoń przyłożył do czoła i tak obaj na bój rycerski patrzyli. Dwie smugi pyłu, jak komet ogony, których gwiazdami rumaki w zbrojach złocistych były, sunęły za jeźdź-

cami z szybkością niezmierną; tętent kopyt końskich coraz gwałtowniejszy, straszniejszy się zdawał... i zwarli się w przepysznem spotkaniu. Suchy trzask zakołysał powietrzem, aż echa zaklekotały i odbiły się oklaskiem o skały naddniestrzańskie. Oba konie na zadach przysiadły, lecz żaden z zapaśników strzemion nie zgubił, ni o włos jeden ku tyłowi się podał. Muzułmanie podnieśli palce do góry na znak podziwu, z szeregów polskich oklask zabrzmiał.

To zachęciło walczących.

Wiatr kurz rozwiał, a błyskawice szabel zamigotały w powietrzu.

Walka była nierówna!

Rumak saraceński lekki jak ptak, zwinny jak wąż, czuły na każdy ruch walczącego pana, brał przemożny udział w tej bitwie. Lotny, lecz duży koń Plichty, nie mógł uchwycić szybkich, a zmiennych rytmów swojego przeciwnika. Z tej racji niejedno cięcie omylone zostało, cios, wymierzony dobrze, chybiał celu, szabla z gwizdem przeszywała puste powietrze, bo arab w tył się podał, albo się zębił i w bok cisnął i zanim rycerz polski błąd zoczył, już krzywa szabla saraceńska z szybkością błyskawicy nad nim stanęła. Uchwycenie tych cięć, podobnych do drgania fal rwącego się potoku, wzrok męczyło i umysł Plichty w jakiś wprowadzało zamęt. Poznał, że przeoczenie jednego tych nieuchwytnych prawie ruchów szabli saraceńskiej, na ostrzu jej niosło śmierć. Nie zużywał więc siły na ciosy ślepe, do ataku się nie rwał, lecz wytrwałością umiejętnego szermierza na ostrze swej szabli brał piorunowe cięcia arabskiego rycerza. Bój się przedłużał, konie chrapały i śnieżną obryzgiwały się pianą; biały rumak arabski od kurzu poczerniał, czarny koń Plichty popiołem się osypał — a ludzkie i zwierzęce piersi dyszały, jakby przez sieć iskrzących się szabel nie mogło powietrze do ich płuc się dostać. Niepewność walki trwogą odbiła się na twarzach polskich i tureckich; z zapartym tchem na wynik śmiertelnego boju patrzyli.

— Zginie! — szeptał Żółkiewski do Koniecpolskiego.

— Zginie! — mruczał Skinder-basza do Bethlen Gabora, który z pułkami siedmiogrodzkimi posiłkował wojskom padyszacha, gniewny na Polaków za pogrom przez nich na Węgrzech zadany.

Tymczasem bój trwał — i czuć było po tępem uderzeniu szablic, że omdlewały.

Już Skinder-basza miał znak dać, by walki zaprzestali, gdy nagle Plichta wbił w brzuch koniowi ostrogi, aż z boków krew bryzgnęła. Koń stęknął z bólu, jak szatan rzucił się naprzód, zdębił się, przedniemi nogami objął szyję arabskiego rumaka, zęby wściekle w kark mu zanurzając. W tej chwili Plichta w strzemionach się wzniósł i cios śmiertelny na saracena spuścił. Z przeciętych żył strumień krwi bryznął, wróg w tył się podał, szabla w bezwładnie opuszczonej dłoni zwisła — i padł bez jęku.

Przerażenie ogarnęło Osmanów, a okrzyk triumfu wypadł z piersi rycerstwa. W tłumach nieprzyjacielskich ruch się zrobił, a groźny szmer zemsty przebiegł szeregi. Pułki arabskie rzuciły się na niewielki zastęp polski, ale drogę im zabiegł Kopyciński z ptaszkami swoimi.

Natarcie było krótkie, ale w swych skutkach straszliwe.

Pan Szymon przejechał się przez szeregi, a ślad tej przejażdżki naznaczył kilkudziesięciu trupami, pociętymi okrutnie. Łby zlatywały, jakby to nie były łby ludzkie, piersi pękały jak garnki próżne, a ani jęków, ani rzężeń konania słychać nie było.

To przejście olbrzyma, ciche jak śmierć, przeraziło pułki inne, rwące się już do boju. Żółkiewski widząc, co się dzieje, posyłał już w bród przez rzekę pomocnicze zastępy, ale główna siła bojowa Skinder-baszy nie była gotowa do walki; armaty spały, jazda nie kulbaczyła koni, piechota nie pilnowała szeregów. Nie był pewny wyniku boju i hetman wielki. Zanim wojska wszystkie za Dniestr by przeszły, opamiętałyby się i Osmanów zastępy. Garstka polskich rycerzy, do boju gotowa, mogłaby nie wytrzymać nawałnicy rozbudzonych wojsk tureckich. Kazał więc zatknąć na wałach białą chorągiew zgody, a wraz odezwały się z rozkazu Skinder-baszy surmy i piszczałki, wzywające niesforne pułki do odwrotu. Wreszcie wieczorny zapadł zmierzch, noc rozpuściła swój płaszcz miłościwy, a z dwóch obozów odzywały się wciąż trąby, których rozkazów nie usłuchać niktby się nie ważył.

Pierwszy wawrzyn dnia tego spoczął na czole pana Plichty; koń przepyszny, szabla kuta w Damaszku, rzęd sadzony klejnotami i świetna zbroja saraceńska, były nagrodą zwycięzcy. Ale i atak pana Szymona na ogólny zasłużył poklask. Gdyby nie ruszył w czas i z takim impetem nie runął, w tak nieuplanowanem spotkaniu powstałby zamęt i męstwo przed siłą mas musiałoby ulec. Strasznem przejechaniem się swojem Kopyciński strach rzucił w rwące się do boju szeregi Osmanów. Żółkiewski lękał się skutków tej walki niesfornej; lęk uczuł i Skinder-basza do pana Szymona ataku. Zakipiała w nim żółć, zęby zgrzytnęły, ale sławy zwycięzcy nie chciał narażać w tej walce bezładnej. Okazał się wspaniałomyślnym i ukaranie „Lacha-Stracha“ do stosownej chwili odłożył. Do przydomku „Łupiskóry“ przybył i drugi, którym go ochrzcił sam Skinder-basza.

Tymczasem „Lach-Strach“ do obozu z ptaszeczkami swoimi przybył, gromkim powitany okrzykiem. Pan Szymon z dumą jechał na czele swej setki, która pałki tylko, siekiery i rohatyny krwią obryzgane miała, lecz sama żadnego nie poniosła szwanku. Ze zdobyczy, w tej okazji zabranej, którą „ptaszeczki“ do nóg hetmańskich złożyli, chciał Żółkiewski podarunek zwycięzcom zrobić. Lecz do wyboru darów wezwani i zapytani, coby chcieli? jeden zażądał kaszy, drugi kwasu, a inny wiadra wody studziennej. Dano im to wszystko z łupem przynależnym, ale rycerstwo buchnęło śmiechem z onych żądań drużyny Kopycińskiego.

— To oni tak zawżdy! — śpiewał Litwin. — Bydło zakazane, że niech Matka Najświętsza broni.

W namiocie swoim podejmował hetman Plichtę i Kopycińskiego, ale podobnych prób rycerskich nadal zabronił.

Dobry duch panował między rycerstwem i chęć jak najszybszego spotkania się z wrogiem. Przy kielichach zwrócono się do hetmana i pito jego zdrowie. Hetman podziękował i wzniósł pełną czarę za króla jegomości, którego Bóg postawił nad narodem i którego wola przez wszystkich powinna być uszanowaną. Huczne „Vivat!“ zawtórowało Żółkiewskiemu, szablice brzęknęły i uniosły się do góry i tchem jednym wypito za zdrowie Zygmunta, a na pohybel Turczynowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wyrok cygana.

Wojtek Zowzięty i Kuba Szalbierz byli muzykantami na całą okolicę, najbardziej jednak cenieni w Cichym Brzegu, ich rodzinnem miasteczku. Oni to każdą niedzielę w czasie sumy wychodzili na wieżę i grali pieśni nabożne, co czynili i na ratuszu, ale tylko wtedy, gdy była procesja Bożego Ciała, święto narodowe, lub uroczyste ogłoszenie zmiany burmistrza. Niezależnie od tego chodzili oni dużo po weselach i grywali ślicznie, ale wtedy nie szli sami, bo ich dwu niewystarczało, ale dobierali ze sobą Jantusia, starego, poczciwego, a mądrego cygana.

Pewnego dnia mieli w taki uroczysty sposób ogłosić całej gminie wybór nowego burmistrza, którym został pan Szklanka Piotr, który od lat miał apetyt na ten sławny urząd. Toteż z okazji jego wyboru, urządził dla swych przyjaciół suty bankiet, po którym Wojtek i Kuba po inżyniersku mierzyli schody, guzami na czołach znacząc miejsca ciaśniejsze, nim wyszli na wieżę, gdzie kołysząc się poważnie, zaczęli grać na swoich trąbkach. Grali długo i pięknie, aż im pot spływał z czoła i oczy wychodziły z głowy. Zaś słońca lipcowego gorąca spiekota coraz bardziej burzyła im w głowę wlany alkohol i nareszcie straciwszy równowagę Wojtek runął z wieży na dół, a Kuba jak długi rozciągnął się na szczycie wieży ratuszowej i chrapał smacznie.

Szczęściem Wojtek spadł na starego żyda Szmula, przywaliwszy go swoim ciężarem do ziemi, wstał rzeźki i wesoły, bo pijaność od strachu wywietrzała mu z głowy, ale żyd wrzasnąwszy „giewałt“, nie wstał już więcej. Widząc to rozjuszeni żydzi obstąpili Wojtka, powiązali i oddali do sądu ze skargą o zabicie Szmula, a że to w owych dawnych czasach surowo karali, więc żądali żydzi, aby Wojtka śmiercią sędzia ukarał, w myśl zasady: życie za życie, oko za oko, ząb za ząb.

Sędzia, człowiek ludzki, pragnął Wojtka ocalić, co było bardzo trudnem, bo wtedy żadnych okoliczności łagodzących nie znano i przestępsów karano według całej surowości prawa. Zabiłeś, to cierp bracie, czeka na cię topór lub szubienica. Ale mimoto sędzia nienawidzący żydków zaczął przemyśliwać, jakby tu Wojtka ocalić, bo wiedział, że Wojtek naumyślnie tego nie zrobił, tylko przez przypadek, a jak tu karać niewinnego człowieka śmiercią i krew jego na sumieniu nosić? Myślał dzień, tydzień, miesiąc, ale naprożno, na obronę Wojtka nic nie wymyślił, a tu termin rozprawy zbliżał się szybko.

O chęciach ocalenia Wojtka wiedział tylko burmistrz. I on myślał nad ocaleniem Wojtka, ale nic wymyślić nie mógł, aż przyszedł do niego cygan Jantuś i dowiedziawszy się, co zaszło, począł nalegać na burmistrza, żeby go do sądu wiódł, że on tę sprawę najlepiej rozsądzi.

Sędzia siedział przy biurku, myśląc jeszcze o ratunku Wojtka, gdy drzwi się rozwarły i ukazał się w nich burmistrz z cyganem.

— Niech będzie pochwalony! — zawołali z miną wesołą wraz burmistrz i cygan.

— Na wieki wieków, cóż mi wesołego zwiastujecie? — pytał sędzia.

Przysunął się cygan do sędziego i długo coś mu szeptał do ucha. Sędzia słuchał długo i twarz mu stawała się bardziej rozpogodzoną, wreszcie uściskał rękę cygana, dał mu 5 dukatów i pożegnał obu, poczem wrócił do pokoju, zacierając ręce, mówił:

— Wybornie, a to się połapią!

Nadszedł dzień sądu. Żydzi zgromadzili się w dużej ilości na sali sądowej, a co się ich nie mogło pomieścić, na polu stali. Kat czekał w przedsieniach, bo go już żydzi zgóry wynajęli za sutą zapłatą. Wprowadzono i Wojtka zmizerowanego bardzo, lecz hardo głowę w górę trzymającego, mimo tego, że mu ciężkie okowy ręce do ziemi ciągły. Wreszcie wyszedł sędzia i mówi:

— Ja tej sprawy sądzić nie będę, bo to sprawa dużej wagi, ale jest tu sędzia z Krakowa od króla, on was rozsądzi mądrze i sprawiedliwie.

Na te słowa z poza kurtyny wyszedł okazały mąż, choć czarny trochę na twarzy i zająwszy miejsce na trybunale, wywołał stronę skarżącą.

Wyszła z tłumu żydówka zgarbiona, dwoje dziecek niosąc na rękach i z ogromnym udanym jękiem boleści, łzami się zalewając, zaczęła mówić:

— Proszę świetnego trybunału ukarać tego tu stojącego Wojtka, który mego męża zabił umyślnie, bo sobie dla figla skoczył z wieży prosto mojemu na głowę, a gdy go od tych figli chciał odwieść Kuba Szalbierz, to go przewrócił, że aż zemdlał na wieży, a na mojego kochanego Szmula skoczył, zabił go, a mnie biedną wdowę zostawił i dzieci sierotami. Proszę sądu ukarać go najstraszniejszą śmiercią, wydać jego majątek mnie na utrzymanie i moim dzieciom biednym.

Pokiwał sędzia głową i kazał zawołać Szalbierza.

Stawił się Kuba, drżąc od strachu, bo poraz pierwszy w sądzie był i na wszystko gadał, jak go burmistrz nauczył.

— Ja nic nie wiem, pijanym był!

— Cóż ty masz na usprawiedliwienie? — pyta Wojtka.

— Ja się tam przed żydami usprawiedliwiał nie będę. Za to, żem żyda zabił, grzechu nie mam, bo po pierwsze zrobiłem to po pijanemu, niechcący, po drugie, oni Pana Jezusa zamęczyli niewinnie, niech i mnie zamęczą, wszystko mi jedno!

Na to sędzia groźną minę zrobił. Wziął grubą księgę, przewrócił kart kilka, wyjął żółty perganin, zamaczał pióro i zaczął pisać, poczem kazał sędziemu odczytać wyrok, ale nim się to stało, zapytał:

— Czy chcecie, żebym wam obwinionego skazańca do waszych rąk wydał, byście mu własnemi rękami karę śmierci wymierzyli, jak zaś tylko sposób wykonania i rodzaj śmierci w wyroku wam naznaczę.

Wtedy żydzi skłonili się aż do ziemi, dziękując sędziemu wielce i zaraz Wojtka otoczyli kołem; kat zaś czekał na swą ofiarę u drzwi niecierpliwie.

A sędzia, uciszywszy gwar, rozwinął papier i czytał głośno treść wyroku, który brzmiał:

— Sąd uznaje winnym zabójstwa Wojtka Zawziętego z Cichego Brzegu, którego się dopuścił na żydzie Szmulu, zaco skazuje tegoż na karę śmierci. Aby się zaś stało zadość prawu zwyczajowemu w myśl zasady: śmierć za śmierć, oko za oko, ząb za ząb, jednego z pomiędzy siebie żydzi wybiorą i wejdzie on na wieżę ratusza, poczem skoczy na głowę Wojtka i w ten sposób go zgładzi ze świata, gdyż skazany w tem samem miejscu, gdzie dokonał zabójstwa, zginąć w ten sposób musi, w jaki to zabójstwo popełnił. Wrazie, gdyby się taki wśród żydów nie znalazł, któryby ten wyrok wykonał, Wojtek Zawzięty wolnym będzie od winy i kary.

Ponieważ z żydów nikt takiej odwagi nie okazał, bo każdego odstraszała wysokość wieży ratuszowej, przeto z pianą wściekłości na ustach rozeszli się żydzi i Wojtek, podziękowawszy sędziemu, cygana zaprosił do chaty i cały miesiąc gościł u siebie z wdzięczności. *Wawrzek Miesiączek.*

Kiedy ranne wstają zorze...



MÓDL SIĘ i PRACUJ.

Któż z nas nie zna prześlicznej pieśni: »Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, Bądź pochwalon Boże wielki«. Pieśń tę, napisaną przed laty przez sławnego poetę polskiego Franciszka Karpińskiego, śpiewali nasi praojcowie, śpiewamy ją my dzisiaj i śpiewać ją będą następne pokolenia. — Świat się zmienia, ludzie się zmieniają, a ona pozostała i pozostanie na zawsze jednym z najpiękniejszych hymnów ku chwale Stwórcy wszechrzeczy.

Pieśń tę zobrazował artysta malarz na rysunku, którego podobiznę zamieszczamy obok. Jest tu stary dworek szlachecki, na którego szczycie znajduje się gniazdo bociana, tego towarzysza doli i niedoli ludzkiej. W drzwiach ganku na chwilę zatrzymała swe kroki pani domu, aby wraz z całą przyrodą w cichem milczeniu oddać cześć Panu nad pany. W dali widnieje kościółek parafjalny, którego szczyt wieżyczki zdaje się nam wskazywać dokąd dążyć powinniśmy i skąd pociechy oczekiwać mamy. A na pierwszym planie rysuje się postać Ukrzyżowanego, która tu zimą, czy latem w pogodę, czy słotę czuwa nad ludzkiem stworzeniem i opiekuje się niem, aby się mu jakakolwiek krzywda nie stała. Krzyż ten, narażony na wszelkie zmiany pogody, jest niejako symbolem tej opieki Bożej, która w każdym czasie i o każdej porze czuwa nad człowiekiem. I u tego właśnie krzyża, kiedy pierwsze blaski słoneczne zaróżowiły niebo, zebrała się gromadka ludzi, aby wraz z całą przyrodą uczcić Pana i Władcę swojego. Na czele gromadki stoi szlachcic, właściciel obok widniejącego dworku, który na czele niewielkiej gromadki włościan wyruszył do ciężkiej pracy. Ale nim ją rozpocznie uważa za miły obowiązek oddać najpierw cześć Temu, który ma nieograniczoną moc błogosławienia pracy ludzkiej. Odkrył głowę, wzniósł wzrok ku niebu, ramiona zaś rozłożył, jakby chciał do serca przytulić Tego, który cierpiał za nas rany.

Poza gospodarzem stoi para wieśniaków. On wpił wzrok w Ukrzyżowanego, ona pochyliła skroń ku ziemi, jakby ją lęk przejmował przed zwróceniem oczu ku obliczu Zbawiciela. Małe dziecięta poklękały na ziemi i wraz z starszemi drobnemi usty szeptają: Bądź pochwalon Boże wielki.

U stóp krzyża narysował artysta narzędzia pracy rolnika, jakby chciał powiedzieć, że nietylko człowiek potrzebuje błogosławieństwa Bożego, że nietylko człowiek ma obowiązek dziękować mu za otrzymane łaski, ale obowiązek ten posiada wszystko, co tylko istnieje na tym świecie.

A u dołu obrazu widnieje to najważniejsze może wskazanie w życiu ludzkiem: „Módl się i pracuj!" Módl się i pracuj, a Bóg nie zapomnio o tobie

i pracy twej błogosławił będzie. Módl się i pracuj, a nie będziesz miał czasu na złe myśli, na podłe obmowy, na bajeczki z taką lubością dziś rozsiewane, które żadnej korzyści nie przynoszą, a bliźniemu wyrządzają niepomierną szkodę. Módl się i pracuj, a Bóg pracy twej pobłogosławi tak, że doczekasz się spokojnej starości, a po najdłuższem życiu wiecznego zbawienia.



MACIEK BZDURA GADA:

Casem to cłeka takie świerzbienie na wnętrznościach ogarnie i taka zmora w sercu gryźć go zacnie, ze ani rady sobie z tem dać ni moze. Jak pchła albo inne gadziaństwo cłeka gryzie, to cłek naostrzy pazury i zacnie niemi harować po skórze, ze swędzenie, choćby się krew puściła, ustać musi. Ale cłek porządny ni ma w sobie takiej dziury, aby nią ręcami do wnętrza dostał i po nim się drapał, coby to swędzenie ustało. I wtedy takie swędzenie nazywają zmartwieniem.

Myślałbyś, ze jak jednego cłowieka takie zmartwienie chyci, to drugi, choć nie garścią, ale dobrem słowem go podrapie... Ale gdzietam. Podrapie go, ale tak, ze go to zmartwienie jesce bardziej gryźć będzie.

Jak jeden, abo drugi, zuźry, ze cłek samoce się ze swoją zgryzotą, to udaje niby przyjaciela i pyta, choć wie dobrze o wszyćkiem:

— A kumie, a co wam to?

— Kumosiu, jakoze to było?

— Kumusieńku, a co będziecie z tem robić?

Takie i tem podobne pytania sypią się z ust somsiadów, choć jem choroba do tego, co i jak było. I choć nie mają na jakiekolwiek podrapanie zadnej mocy, to się rozpytują, aby tylko zaspokoić swoją ciekawość, a temu bidakowi jesce większe świerzbienie sprowadzić.

A jak się taki zmartwiony cłowiek jesce na babskie języki dostanie, to ranyściewy kochaneńkie! Tak go wynicują, tak go wypucują, ze suchej nitki na niem nie zostawią, ze sam siebie nawet w lusterku nie pozna.

A przecie to brzyćko i nieładnie, bo ludzkiemu boleniu pomóc trzeba, a jeśli się likarstwa na nie ni ma, to pownno się zaprzyć gębę na śtyry spusty i ani pary z niej nie puścić.

A tymcasem przyjdzie kuma do kumy i niby tak od niechcenia pocnie pytlować:

— A wiecie kumo, kumowi Michałowi to cielę zdechło.

— Naprawdę? Moiściewy, to ta juz chyba nie bez powodu. Mnie się widzi, co Michał za dzieuchami gonią, a własnej chudoby nie pilnują — powiada druga kuma i leci zaraz do trzeciej kumy i prawi:

— Wicie kumo, kum Michał to zabił cielę bez złość. Michałowa robiła mu wymówki za Margośkę od Wierzgały. Michał chcieli za to babę sprać, ale Michałowa uciekli, a Michał pomścili sę za to na cielęciu.

A ta trzecia goni zaraz do cwartej i znowu skwircy:

— Kumusieńku! Wy w swojej ućciwości ani nie wicie, jaka Sodoma i Gomora w nasej wsi się wyrabia. Michałowa przyłapała swego na moransach z Margośką od Wierzgały. Zrobiło się piekło w chałpie. Michał złapał kłonicę i chciał sprać babę, ale ta uciekła. Michał w rozłosceniu przejechał kłonicą po cielęciu, jaze się wszyćkiemi śtyroma łapami nakryło. Michałowa uciekła do tatusiów i pedziała, ze ani na noc do chłopa nie wróci. Moiściewy, takie się to teraz bezeceństwa u nas dzieją.

A znów ta cwarta kuma opowiada swojej piątej kumie całe zdarzenie po swojemu. Tak niby niechcący zapomniała juz o cielęciu, ale zato powiada, ze Michał sprał Michałową za to, ze ją przyłapał z Ignacem od Furgaca, jak gadali ze sobą za łujkową stodołą. Musieli pono posyłać po dochtora i po księdza; dochtór przyjechał ,ale ksiądz powiedział, ze la takich źbereźnic ni ma Pana Jezusa.

— Moiściewy! Takie się to teraz rzecy na świecie wyćciwiają, a cłek pobozny, choćby chciał przygrzysyć, to ni ma z kim i gdzie — dodaje jesce kuma z okrutecną załością w sercu.

I znowu niedługo jedna z tych kum spotyka Michałową na gościeńcu i zaraz lituje się nad nią:

— Moiściewy kumusieńko! Takie to juz teraz chłopy! Bo i naprzykład sami was Michał za inksemi dzieuchami gałami strzylają, a wam to ani na pogadankę choćby z takiem Ignacem zezwolić nie chcą. Juz ja tam wiem, co mówię, ale skoda se gęby psuć. Ostajcie zdrowi.

A znowu inksa kuma, spotkawsy Michała, prawi mu:

— Ućciwieście swojej zrobili! Jakbym ja miała takiego chłopa, ja wy, tobym się ani na samego siandara nie spojrzała. A wasa za inksemi goni, jednego jej mało! Ostańcie zdrowi, bo okrutecnie nie mam casu.

Schodzą się Michał i Michałowa w chałpie, zapominają o cielęciu, które jem z najedzenia się konicu padło, a myślą: on o Ignacu, ona o Margośce. Zacynają se przygadywać, zacynają wynajdować grzychy niepopełnione i tak z tego do tego, od słowa do słowa, jaze robi się w nich taka złość do siebie, ze potem trzeba wiele dni i wiele nocy stracić, aby ją ze serca usunąć. A jezeli się ją usunie, to jesce wszyćko dobrze, ale po największej część usunąć się nie da i choć pozornie następuje zgoda, to złość ta we wnątrzu siedzi i przy lada okazji byle dziurką z cłowieka wyłazi.

I oto co z tego wynika? Zamiast pomocy w niescęściu wepchanie cłeka w jesce większe niescęście. Od takich litośników uchowaj nas Panie!

Często...

Często błądzę myślami pośród nocnej głuszy,
W ruinach wspomnień szukam mojej bratniej duszy.
Pełzną prześnionych uczuć zamglone koszmary,
A ludzie wspomnieniami to są tylko mary.
Miłość i ból nawet nie bardzo mnie wzruszy,
W gromadzie ludzkiej szukam mojej bratniej duszy.

Helena Latawcówna.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Hiszpanja I.

Głośną w świecie jest obecnie Hiszpanja, a głośną przez to, że republikanie tamtejsi zmusili króla Alfonsa do wyjazdu zagranicę, a sami ogłosili kraj



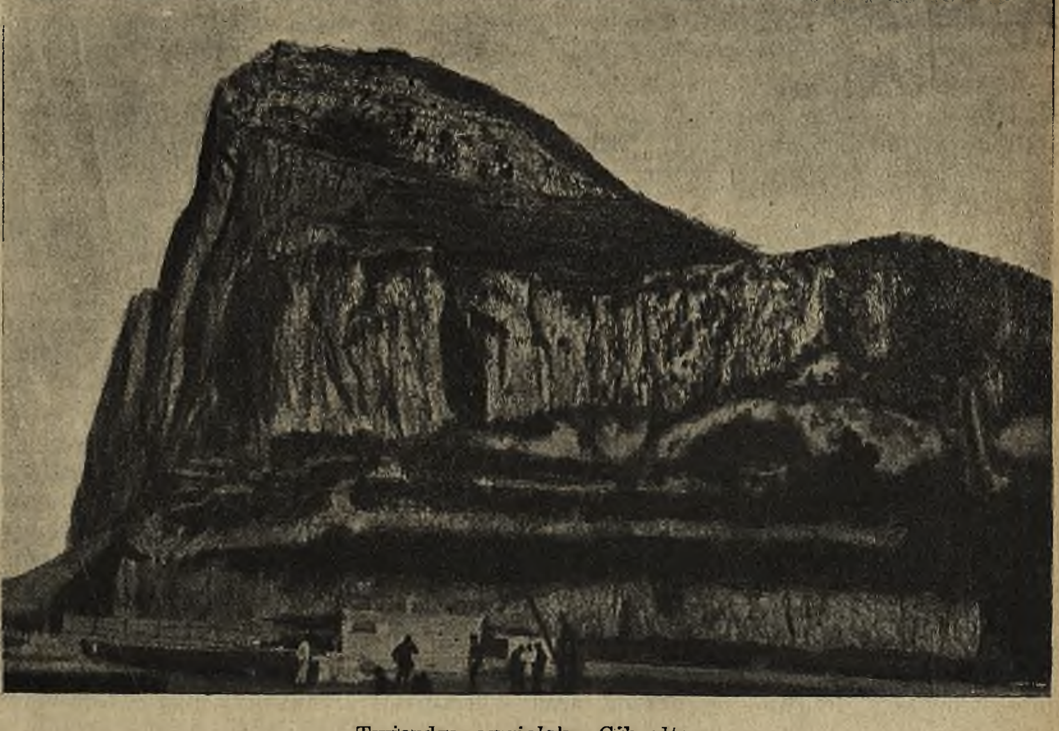
Latarnia morska na wybrzeżach Hiszpanji.

swój Rzecząpospolitą. Zdawało się, że przewrót ten odbędzie się spokojnie, gdyż król i jego zwolennicy nie stawiali oporu, ale w rzecz samą wmieszały się wszelkie szumowiny komunizujące i doprowadziły tu i ówdzie do przelewu krwi. Pastwą ich zaciekłości i... głupoty padło kilka klasztorów, które nierozumny tłum podpalił.

Hiszpanja zajmuje pięć szóstych półwyspu Pirenejskiego i należy do najsłabiej zaludnionych krajów Europy, bo choć jest 7 razy większa od Małopolski, to posiada trzy razy mniej ludności. Połowa Hiszpanji jest suchym, trawiastym stepem; wśród takiej też bezleśnej i bezwodnej okolicy wznosi się stolica kraju Madryt. Bogactwa górnicze Hiszpanji są ogromne, wszakże skarby ziemi: żelazo, ołów, miedź, rtęć i inne metale nie stały się podstawą przemysłu. Niemal wszystkie produkty górnicze zakupują w surowym stanie Anglicy. To też ludność tamtejsza uboga, a jeszcze najbogatsze są prowincje nadmorskie.

Hiszpanja, będąc pomostem pomiędzy Europą a Afryką, przechodziła różne koleje losu. Fenicjanie, Kartagińczycy, Rzymianie, Wandale, Goci, wreszcie Arabowie pustoszyli ten kraj lub w nim panowali po kolei. Państwo arabskie powstało w Hiszpanji w roku 711 i trwało przez kilka wieków. Stolicą jego była Kordowa. W XI wieku rozpadło się ono na małe państewska, obok których powstały także królestwa i księstwa chrześcijańskie (Kastylja, Aragonja, Nawarra i t. p.). Przez małżeństwo Ferdynanda katolickiego z Aragonji z Izabelą z Kastylji w r. 1479, połączyły się dwie najważniejsze dzielnice w królestwo Hiszpanji. W 1492 roku upada ostatnia twierdza arabska Granada. W tym samym roku odkrywa Kolumb Amerykę na okrętach hiszpańskich i bierze ją w posiadanie imieniem królów hiszpańskich. Córka Ferdynanda i Izabeli, Joanna, wyszła za Filipa I, syna cesarza Maksymiljana z rodu Habsburgów, wskutek czego od roku 1516 zapanowali w Hiszpanji Habsburgowie. Władali oni nią do roku 1700, a kiedy wymarli bezpotomnie, zawrzała o Hiszpanję długoletnia wojna, t. zw. wojna hiszpańska sukcesyjna. Na tronie utrzymali się Burbonowie, którzy panowali do roku 1808 nieprzerwanie. Liczne posiadłości hiszpańskie rozebrały Austrja i Anglja, a sam kraj upadał coraz bardziej. W roku 1808 Napoleon I pozbawił tronu Burbonów i osadził na nim brata swego Józefa, ale Hiszpanie nie chcieli poddać się pod jego panowanie; poczęło się zacięte ludowe powstanie, którego Napoleon nie zdołał pokonać. Po stronie Napoleona walczyli nasi rodacy, którzy odznaczyli się szczególniej przy zdobyciu wąwozu Samossiera. Po stronie powstańców oświadczyli się Anglicy, którzy im też wiele pomagali. Na tron powrócili znowu Burboni, a ostatni z nich Alfons XIII panował aż do roku bieżącego. W drugiej połowie XIX wieku Hiszpanja utraciła swe kolonje w południowej Ameryce, a kraj, nękany ciągłemi zamieszkami wewnętrznemi, nie mógł nigdy podnieść się z upadku.

Od południa, wschodu i częściowo od zachodu oblewa Hiszpanję morze, większość zaś zachodnia



Twierdza angielska Gibraltar.

graniczy z Portugalją, a północna z Francją. Ale od Francji oddzielają ją dość wysokie i trudne do przebycia góry Pireneje.

Hiszpanja, leżąc nad oceanem Atlantyckim i morzem Śródziemnem ma wszelkie warunki rozwoju swojego handlu morskiego, ale przeszkadza temu ubóstwo kraju tak, że nie może ona się zdobyć nawet na większą flotę handlową.

Nim przejdziemy do dalszych opowiadań o Hiszpanji, podajemy dziś naszym Czytelnikom dwa obrazki. Na pierwszym z nich widzimy latarnię morską na wybrzeżach hiszpańskich, na drugim ów sławny Gibraltar, który do dziś dnia dzierżą Anglicy i bronią z niego dostępu każdemu z oceanu Atlantyckiego na morze Śródziemne. Oczywiście w czasie pokoju okręty obcych państw mogą przez cieśninę gibraltarską przejeżdżać swobodnie, ale wrazie wojny działa z twierdzy gibraltarskiej, zbudowanej na wyniosłej skale, nie dopuszczą do przepłynięcia ani jednego okrętu, gdyż pociski armatnie tamują im zupełnie drogę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

— Dziwne! Dziwne! — powtarzał nieraz Godfrey. — A jednak się nie pomyliłem! Ani Karefinotu, który bystrym wzrokiem dzikiego pierwszy wszak dostrzegł niedźwiedzia! I strzeliłem przecież do niedźwiedzia! Przypuśćmy nawet, że ugodziłem go śmiertelnie, to niepodobna przypuszczać, by na całej wyspie żył tylko jeden zwierz drapieżny...

Jeśli zresztą zastrzelił niedźwiedzia, to musiałby leżeć pod drzewem! Tymczasem, ani pod drzewem, ani w sąsiedztwie, nie znaleźli żadnego śladu zwierzęcia, pomimo, że obaj z Murzynem niemało sobie zadawali trudu! Czyżby zwierzę, śmiertelnie ranione, dowlokło się było do jakiejś kniei, by tam skończyć? Ale w takim razie zarówno pod drzewem, gdzie zostało ugodzone, jak i po drodze, widniałyby ślady krwi... A tu ani krwi, ani żadnych śladów zwierzęcia!

— Tak czy owak — rozumował Godfrey — na razie nie zdaje się nam grozić żadne niebezpieczeństwo... Inna rzecz, że trzeba się mieć na ostrożności!

W pierwszych dniach listopada rozpoczęła się słota. Całemi godzinami zimny deszcz strugami lał z szarego nieba, a niezadługo miały się rozpocząć ulewy, trwające przez cały szereg tygodni i będące nieodłączną cechą tamtejszej zimy.

Godfrey musiał się tedy pod naciskiem konieczności zabrać do urządzenia pieca we wnętrzu drzewa. Był on zarówno potrzebny do ogrzewania domostwa, jak do gotowania, gdyż trudno było gotować na wolnem powietrzu z nastaniem pory dżdżystej.

W jednym z kątów domostwa można było z olbrzymich kamieni, układanych płasko, to znów pionowo, urządzić piec kuchenny. Chodziło tylko o odprowadzenie dymu, który na razie gromadził się w wydrążeniu drzewa, zatruwając powietrze.

Po długich rozważaniach Godfrey wpadł na pomysł sporządzenia długiej rury z bambusu, którego można było w dowolnych ilościach naciąć w zaroślach nadbrzeżnych. Jakoż przy pomocy Karefinota zaopatrzył się w dostateczną ilość bambusu i wydrążywszy najgrubsze pnie, spoił je w długą rurę, sięgającą od ogniska aż do otworu w drzewie, którym miał uchodzić dym. Na razie komin ten funkcjonował doskonale, należało tylko uważać, by on sam się nie zajął od gorącego dymu.

Okazało się, że najwyższy był czas urządzić kuchnię wewnątrz drzewa, bo deszcz zrazu drobny, przeistoczył się w ulewę i trwał bez przerwy do 10 listopada. Palić na dworze byłoby niepodobieństwem, bo w ciągu paru minut deszcz byłby zalał największe ognisko. Przez cały tydzień nie mogli wychodzić z mieszkania. To też opuszczali je jedynie dla nakarmienia czworonogów i drobiu.

Nic dziwnego, że po kilku dniach okazał się brak korzeni kamy, które im zastępowały chleb. Wszystkich innych zapasów mieli na razie dosyć. Wieczorem 10 listopada Godfrey zakomunikował profesorowi, że skoro tylko trochę się wypogodzi, wyruszą z Karifenotem po nowy zapas kamy. Tartelett był bardzo zadowolony, że obejdzie się bez jego pomocy, gdyż parugodzinne marsze, zwłaszcza przy takiej niepogodzie, wcale go nie nęciły. Chętnie więc objął rolę strażnika, mającego czuwać nad domostwem i inwentarzem. Wieczorem zaczęły się chmury rozpraszać i nawet kilka błękitnych smug ukazało się wśród ciężkiej ołowianej płachty, szarpanej przez silny wiatr jesienny. Na dzień następny należało się spodziewać pogody, z której Godfrey postanowił skorzystać.

— Zaraz rano wyruszam z Karefinotem po kamę — oświadczył.

— Zgoda — odparł Tartelett.

Wieczór ukazało się nawet trochę gwiazd na niebie, coraz bardziej wyzwalającem się z opony chmur, wobec czego Murzyn znów uparł się spędzić noc na dworze. Godfrey tłómaczył mu, że jest to ostrożność zbyteczna, gdyż niema powodu obawiać się dzikich zwierząt, gdy nigdzie nie odkrywali najmniejszego śladu ich istnienia, jednakowoż Karefinotu nie dał się nakłonić do pozostania w mieszkaniu.

Gdy o siódmej rano Godfrey wyszedł z mieszkania, przywitały go nieśmiałe promienie słońca, od 10 dni poraz pierwszy wyzłacając listkowie drzew.

Karefinotu był na swem stanowisku, gdzie spędził noc. Obaj mężczyźni, należycie uzbrojeni, z dużemi worami na ramionach, ruszyli w kierunku strumienia, gdyż na lewym jego brzegu rosły krzewy kamy.

Po godzinnym marszu stanęli u celu, bez żadnej przygody. Żwawo zabrali się do wyrywania korzeni i w ciągu trzech godzin napełnili niemi dwa wory. Mogła być godzina jedenasta, gdy ruszyli z powrotem do drzewa Wilhelma. Szli w milczeniu, gdyż ciężar, jaki musieli dźwigać, nie usposabiał do rozmowy, tem więcej, że cała ich uwaga koncentrowała się na badaniu otoczenia. Tak doszli do zakrętu strumienia, ocienionego w tem miejscu przez grupę drzew, gdy nagle Godfrey przystanął.

Tym razem on wskazał Murzynowi potężne zwierzę, nieruchomo stojące pod jednem z drzew. Oczy zwierza płonęły blaskiem niesamowitym.

— Tygrys! — krzyknął.

I nie mylił się. Był to istotnie ogromny tygrys, który stanąwszy na tylnych łapach, pazurami zrywał korę drzewa, gotując się do skoku.

Błyskawicznie zrzucił Godfrey z pleców worek z korzeniami, chwycił strzelbę, wycelował i strzelił. Wszystko to było dziełem pięciu sekund.



..Pochwyciwszy za krtań, walczył z nim co sił.

— Hurra! Hurra! — wykrzyknął radośnie.

Tym razem nie miał najmniejszych wątpliwości. Tygrys, trafiony kulą, potoczył się w tył i runął. Niewiadomo, czy strzał był śmiertelny; potwór może się zerwać i rozwścieczony bólem, rzucić się na nich!

Godfrey naładował strzelbę powtórnie, gotów dać drugi strzał. Zanim jednak zdołał to wykonać, Karefinotu z nożem myśliwskim w ręku, pędem pobiegł ku drzewu i rzucił się na zwierza... Godfrey krzyczał na całe gardło, chcąc go powtrzymać, lecz było już zapóźno... Murzyn, postanowiwszy widać z narażeniem życia zmierzyć się z potworem, stał już pod drzewem...

Godfrey rzucił się za nim...

Dobiegłszy na miejsce, zobaczył Karefinota, zmagającego się z tygrysem; Murzyn, pochwyciwszy potwora za krtań, walczył z nim ze wszech sił, zanim mu się wreszcie udało wepchnąć mu w serce nóż myśliwski.

Tygrys potoczył się do strumienia, który wezbrany po ostatnich ulewach, porwał go i uniósł. Zwłoki olbrzymiego zwierzęcia kilka razy podskoczyły na fali, by rychło zniknąć w morskich odmętach.

Niedźwiedź! Tygrys! Teraz już nie ulega wątpliwości, że na wyspie żyją najstraszniejsze drapieżce! Godfrey zbliżył się do Murzyna, by stwierdzić, że oprócz paru draśnięć, wyszedł z śmiertelnych zapasów bez szwanku... W najwyższym stopniu zaniepokojony tym wypadkiem, będącym niejako zapowiedzią dalszych niebezpieczeństw, zagrażających nieszczęsnym robitkom, Godfrey ociężałym krokiem wracał do domu obok swego milczącego towarzysza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Chciwość ukarana.

(Humoreska.)

Przed kilkudziesięciu laty, gdy jeszcze istniała pańszczyzna, a kara chłosty zależała od humoru klasy uprzywilejowanej, w okolicy Rzeszowa mieszkał sobie bogaty dziedzic na większym obszarze, który miał leśnego nazwiskiem Bartłomieja Śnieżkę.

Pewnego razu w porze zimowej Bartłomiej udał się w obchód swego rewiru lasowego, a powracając koło stawu rybnego, położonego na skraju lasu, zobaczył rzecz dla niego w życiu niewidzianą. Na kraju przyrębli stawu lis stoi i raz nachyla się nad wodą, to znów cofa się do tyłu, a najważniejsze, na widok Bartłomieja nie ucieka. Bartłomiej podszedł bliżej i dopiero zobaczył, jak lis chwycił dużego szczupaka za szczękę, a szczupak zaś lisa swemi ostremi zębami podobnie i jeden drugiego nie puszczał.

Bartłomiej, napatrzywszy się zmaganiom lisa ze szczupakiem, niewiele myśląc, wpakował do posiadanego worka szamotającego się lisa ze szczupakiem i raźnym krokiem udał się w kierunku dworu, z myślą okazania dziedzicowi niecodziennego okazu. Na drodze, przechodząc koło karczmy, zastąpił mu drogę arendarz, Icyk Szpilmacher, który zobaczył u Bartłomieja spory wór na plecach. Zaczął zatem wypytywać, coby Bartłomiej niósł, a możeby sprzedał. Ciekawości Icka Bartłomiej uczynił zadość, wszedł do karczmiska, gdzie wysypał zawartość worka na podłogę. Icyk nie mógł wyjść z podziwu, a dopiero gdy się dowiedział, że Bartłomiej ma zamiar odnieść to do dworu, zaczął przemyśliwać, coby można było od dziedzica za to otrzymać.

Icyk, aby ująć sobie Bartłomieja, nalał mu porządną miarkę jedną i drugą, a gdy ten wypił, mówi do niego:

— Słuchajcie Bartłomieju, weszcze mnie do spółki, ja już będę dziedzicowi mówić wsisko, a co dostaniemy, to już podzielimy się na połowę.

— Bartek nie dał sobie dużo mówić, przystał na propozycję Icka, zabrał z powrotem do wora lisa ze szczupakiem i udał się wraz z Ickiem do dziedzica.

Gdy przyszli przed oblicze dziedzica, chłop nisko się ukłonił, no a żyd Icyk aż czapką do ziemi uderzył. Pan dziedzic zapytuje Bartłomieja, co mu to przyniósł takiego, na co Icyk, nie dając przyjść Bartkowi do słowa, zaczął opowiadać, co to jest za rzecz. Ciekawy dziedzic, gdy zobaczył lisa szamotającego się ze szczupakiem, ciekawy był się dowiedzieć, kto go chwycił, na co Icyk odpowiada, nisko się kłaniając:

— Panie dziedzic, to ono chwycił tak jak Bartek, a prawdziwie to ja chwycił tego Bartek, bo gdyby nie ja, to kto wie, czyby to tak mogło bicz jak pan dziedzic widzi.

Koniec końców widzi dziedzic, iż z Ickiem nie dojdzie do końca, bo Icek Bartkowi nie dał przyjść do słowa, zapytuje się Bartłomieja, czemby go mógł udarować, na co Bartłomiej uniżenie się kłania, mówiąc, że nie żąda żadnego wynagrodzenia. Icek pozostaje jak na szpilkach, był pewny sowitej nagrody od dziedzica, a tu głupi Bartek za wszystko dziękuje. Dziedzic, nie chcąc jednak wypuścić Bartłomieja z próżnemi rękami, obiecuje temu 2 morgi gruntu, jednak Bartek pięknie panu dziękuje, składając się, iż za łaską pańską pola ma dosyć i więcejby nawet nie mógł obrobić. Icek z tyłu szturka Bartka, szepcząc mu:

— Nu nie bądź głupi, bierz, kiedy dziedzic daje.

Ale nie pomogły szepty Icka, Bartek pola nie przyjął, na co jednak dziedzic odpowie:

— Może masz i słuszność Bartłomieju. Pola ci, jak mówisz nie trzeba, ale dam ci parę dobrych wołów, to ci się przyda.

Icek szturka Bartka z tyłu i mówi:

— Nu bierz, co jeszcze chcesz, nie bądź głupi, ja woły kupię, dobrze ci zapłacę, to jest jednego, bo drugi według umowy mój.

Bartłomiej i za woły podziękował, wymówił się, czem mógł, a kłaniając się nisko dziedzicowi, prosi:

— Jak łaska pańska, proszę o 100 buków, to jest 50 dla mnie a 50 dla Icka, bo takąśmy zrobili umowę, że co od pana otrzymamy, to się z Ickiem do równej części podzielimy.

Dziedzic przystał na propozycję Bartka, i kazał im się zgłosić dnia następnego rano po buki.

Bartek z Ickiem pożegnali dziedzica, Bartek ucieszony a Icek z dość kwaśną miną, po wyjściu mówi do Bartka:

— Na co tobie było te 100 buki, nie lepiej było wziąść co innego jak pan dawał. No, ale cóż robić, kiedy ty taki głupi, ja już jutro i po te buki przyjadę i to się przyda, nie trzeba będzie kupić drzewo.

Dnia następnego raniutko Bartek przyszedł do dworu, udał się do pana i wyjaśnił, jakie on prosi buki, a przytem prosił, by pierwszy otrzymał swoją część Icek.

Po niejakiem czasie przychodzi i Icek a z nim zajechało na podwórze 50 wozów po te 50 buków, lecz jakież było jego zdziwienie a zarazem i przerażenie, gdy zobaczył na korytarzu przygotowaną ławę i dwu tęgich parobków z tęgiemi parzonemi jałowcami, którzy na rozkaz pana położyli Icka na ławę i naliczyli mu 50 porządnych kijów. Gdy ten już powstał z ławki, przybliżył się Bartek, a kłaniając się panu do nóg, prosi:

— Panie dziedzicu, tyle lat służyłem panu i nigdy nie zwykłem prosić o nic, niechże i dziś, to, co ja miał dostać tę drugą połowe, proszę dać Ickowi.

Pana nie trzeba było dwa razy o to prosić, dał znak parobkom, a ci z wielką uciechą wyliczyli Ickowi część Bartłomieja. Nie pomogły Icka protesty, ani prośby, otrzymał w pełni obie części, a gdy powstał mało żywy z ławy, odezwał się do niego dziedzic:

— Masz zasłużoną zapłatę, nie łakom się drugi raz na to, co ci się nie należy, a szczególnie nie zazdrość drugiemu jego szczęścia.

Po otrzymanej nauce Icek jak oparzony wybiegł na podwórze, gdzie stały furmanki oczekujące na buki i krzyknął do furmanów:

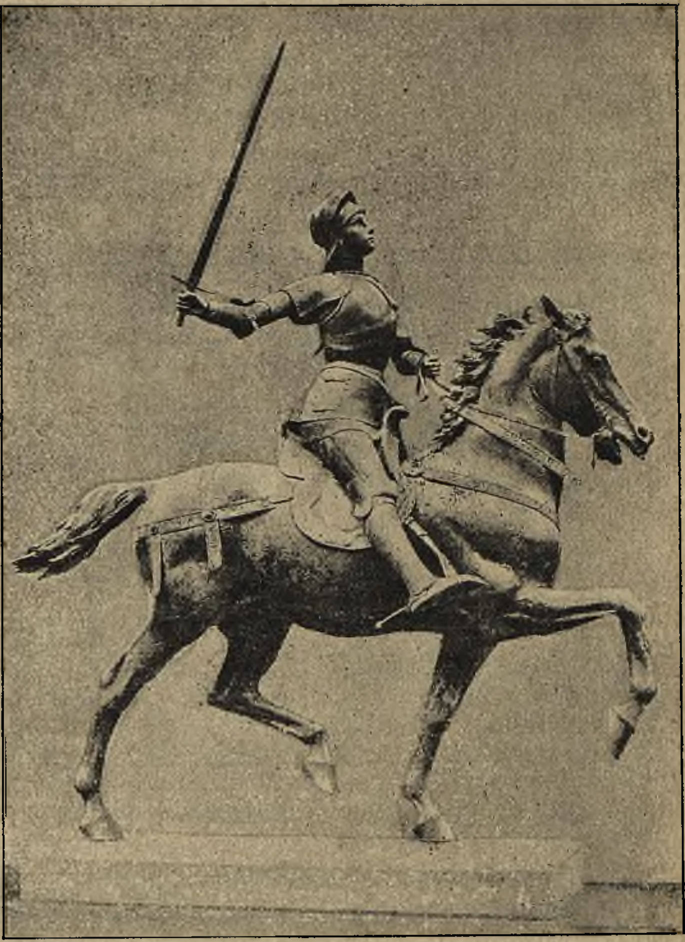
— Zawracajcie i jedźcie do domu, bo ja już nietylko 50 ale 100 buków sam zabrałem i niosę.

To mówiąc, Icek wskazał na spodnie, a nie oglądając się pobiegł do domu, liżąc się kilka tygodni z otrzymanych razów. Bartka w swojem życiu na oczy nie chciał widzieć, a interesu z nim już nigdy nie zawierał.

Bartek za swój pomysł został przez pana sowicie obdarowany, służył do lat sędziwych za gajowego, po nim zaś w tym samym majątku pozostali jego synowie, a przed kilku miesiącami będąc w Rzeszowskiem, zeszedłem się z jego wnukiem i ten opowiedział mi powyższe opowiadanie, a ja się niem dzielę z czytelnikami „Roli".

Władysław Fijałkowski.

JOANNA D'ARC.

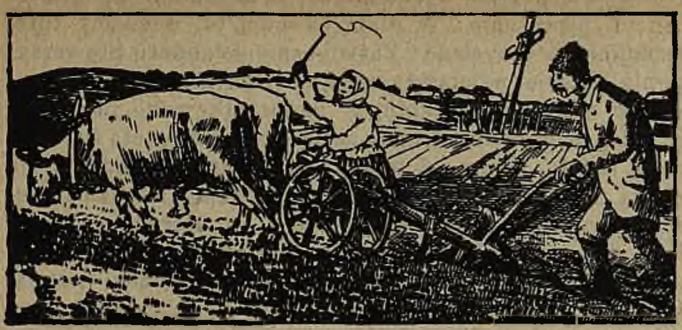


Dziewczyna ja prosta,
wydźwignę mą ziemię w słoneczną potęgę,
bo sztandar Bóg dał mi„ biały, liljowy,
wyroków przed mym wzrokiem złotą otwarł księgę,
miecz zesłał mi w dłonie —
potęga jest we mnie, zjawiona świętych i aniołów słowy,
blask wieńczy me skronie —
i któż mej mocy, co z niebiosów, sprosta?...
i któż jak Bóg?...
Bo chociaż dziewczyna jam prosta,
On dzisiaj przez usta me przemawia
i wiedzie mię w pola, kędy Triumf i Sława
Rolanda pełen ech rozbudzi róg...

Płomienie goreją — zapalił się świat,
w purpurze miecz mój, w bojowej kurzawie
błyskawicami srebrnemi rozbłyska.
Orleans, Jargeau, Beaugency:
rycerski pochód ku Słońcu, ku Sławie...
Oto stwierdzone me z niebem aljansy —
Francja, ma Francja wzniesiona i bliska
mego południa anielskich zwiastowań...
Reims — i korona — sam zesłał ją Bóg —
rozkwitła jak lilij na sztandarze kwiat —
zbawiona ojczyzna ma klęski i trwóg
z aniołów i świętych w aureolach Słowa...

Compiègne — i Rouen — niech się pełni los...
i niech mię wiodą archanielskie głosy
w płomieniejący mem świadectwem stos...
Żaden nie ugiął mię podstępny cios —
ogień mi będzie mgłą srebrzystą rosy —
wieści powieją na daleki świat,
żem na niezgasłych bieg zasiała lat
doli i chwały ojczystej lilije...
O niech mię płomień szumiący owije:
w potężnych z Bogiem jam i kraj aljansach...
Ogień u stóp mych — na dłoniach — na włosach —
aniołów głosy... pieściwe — jak rosa...
Domremy — triumf — Francja, Francja, Francja!...

Franciszek Surówka.



Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na czerwiec.

Jakkolwiek wczesna wiosna była dla pszczół wprost katastrofalna, tak maj okazał się dla nich wspaniały. W kwietniu mogło się zdawać, że tego roku połowa pszczół wyginie z głodu, bo przy większej pasiece nawet trudno je było podkarmić z powodu panującego zimna. Wprawdzie dobry pasiecznik nie powinien dopuszczać, aby pszczołom z wiosną brakowało pożywienia, ale, niestety, takich dobrych pasieczników mamy jeszcze zbyt mało. Większość naszej braci pszczelarskiej stara się w czasie miodobrania zabrać jak najwięcej słodyczy, a co tam będzie zimą i wczesną wiosną, o tem nie myśli. Takich niema co żałować: sami sobie winni. Ale zdarzały się i inne wypadki. Oto w ulu dobrze zaopatrzonym na zimę młoda matka pomimo chłodów już wczas na wiosnę zaczęła silnie czerwić. Przybywało gąsieniczek, przybywało pszczółek, ale zapasy nikły. Kto dbał o swą pasiekę i trzymał niejako na jej pulsie rękę, ten przez wstawienie zapasowej ramki z miodem lub z gęstym syropem pień uratował, lecz kto się nie troszczył o swój pszczeli dobytek, temu najpiękniejsze pnie pospadały. A takich było wielu.

Pierwszy oblot pszczół w okolicach Krakowa nastąpił dopiero 22 marca. I to nie wszystkich; niektóre siedziały jakby wymarłe do dnia 13 kwietnia i co do tych można było przypuszczać, że rozwój ich będzie mocno spóźniony. Okazało się jednak inaczej. Piękny maj wyrównał wiosenne krzywdy; matki w tych spóźnionych ulach zaczęły czerwić tak silnie, że już w drugiej połowie maja siły we wszystkich ulach wyrównały się. Pogoda sprzyjała, a niektóre kwiaty miodowały tak silnie, że w plastrach coraz gęściej zaczął się złocić wonny nektar. Sytuacja dziś przedstawia się tak, że w dobrze prowadzonej pasiece nie powinno być ani jednego pnia słabego. A gdyby mimo wszystko jeszcze obecnie znalazł się taki pień, to go trzeba bezzwłocznie wyrównać przez dodanie mu ramek z dojrzałym czerwiem z innych pni, bo słabeuszów trzymać nie należy. Ale nie dawać, broń Boże, naraz kilku ramek, gdyżby pszczoły czerwiu nie obsiadły i zaziębiły go, ale co kilka dni po jednej.

Zbliża się pora, w której kwiaty mogą sypnąć miodem. Nadchodzi czas rozkwiatu akacji, białej koniczyny i innych roślin miododajnych. Trzeba mieć przygotowane miejsce na składanie tego miodu. W dobrej pasiece w obecnej porze powinno być założonych miodem, pyłkiem i czerwiem przynajmniej 10 ramek ula słowiańskiego. W ciasnych ulach nie pozostaje więc nic miejsca na nadchodzące zbiory, w obszerniejszych niewiele. Wobec tego trzeba bezzwłocznie przygotować nadstawki, względnie magazyny, dając do nich gotowe plastry, a w braku tych przynajmniej ramki z sztuczną węzą. Niech pszczółki mają dość miejsca na składanie złocistego nektaru. Na robienie świeżych plastrów szkoda teraz czasu. Wprawdzie nie można im i w tem przeszkadzać, gdyż lubią one popisywać się własną pracą, ale wystarczy tu dodanie najwyżej jednej ramki z początkiem roboty, aby mogły zadość uczynić swej naturze, na więcej szkoda czasu i... materjału.

Sztuczna węza jest dla pasiecznika prawdziwem dobrodziejstwem, szczególniej węza o głębokich komórkach, gdyż tu wystarcza na wykończenie plastra niemal ten wosk, jaki ta węza posiada. Niejednemu żal pieniędzy na kupno sztucznej węzy, ale gdyby umiał liczyć, toby się przekonał, że dodanie pszczołom jednego kilograma sztucznej węzy, przysporzy mu przynajmniej 10 kilogramów miodu. A do tego węza ta przecież nie znika z ula. Gdy się kiedyś plastry postarzeją i przetopi je na wosk, to z węzy tej uzyska niemal tyle wosku, ile ona ważyła przy zakupnie.

Mieć więc magazyny i nadstawki w pogotowiu, gdy tylko się pojawi większy pożytek, potwierać magazyny, podawać nadstawki, niech pszczółki mają gdzie gospodarzyć. Chłód teraz już nie zaszkodzi, gdyż po pierwsze nie można się spodziewać zbyt zimnych dni, a powtóre w ulach już jest taka siła, że raczej je ochładzać należy, aniżeli ogrzewać.

W czerwcu należy uważać, aby nie dopuszczać do rójki, na łapanie pszczół po drzewach szkoda czasu. Kto chce powiększyć pasiekę, będzie to mógł uczynić później przez zrobienie zsypańców, lub choćby i teraz przez sztuczne roje, a nie potrzebuje wspinać się po drzewach za rojami naturalnemi. Gdyby pień był za silny i gotował się do rójki, to osłabić go przez zabranie mu jednej i drugiej ramki z czerwiem, a dodanie jej pniowi słabszemu, dodać w to miejsce ramek z węzą, pozrywać pozakładane mateczniki, a odniechce się mu rójki. Pamiętać przytem należy, że lepiej mieć w pasiece dwa pnie silne, aniżeli dwadzieścia słabeuszów.

Poradnik lekarski.

Pocenie się nóg. Przyczyny: Brak należytej czystości w utrzymywaniu tychże. Poty nagle zatrzymane mogą wywołać zaburzenia w całym organiźmie. W nadmiernych potach należy nogi moczyć w letnim naparze polnego siana, kminku, kory dębowej, skrapiać wódką, posypywać sproszkowanym kamieniem winnym. Z środków aptecznych najlepszym jest kwas garbnikowy, który wsypywany w małej ilości do obuwia i pończochy, garbuje cuchnący naskórek i nie wstrzymując potów, zapobiega gniciu. Odwar szałwji, kory dębowej do kąpieli nożnych.

Nerwoból (newralgja, bóle nerwowe). Choroba ta powstaje wskutek przeciągu, przeziębienia, uderzenia, upadku, próchnienia zębów, chorób nosa, ucha, ogólnego wycieńczenia, chorób oczu, przewodu pokarmowego, wysiłków fizycznych. Objawy: Bardzo silny ból wzdłuż całego przebiegu nerwu, lub w jednym punkcie, bez żadnych widocznych objawów zapalnych, najczęściej na głowie, n. p. ponad okiem, wzdłuż szczęki i t. p.

Leczenie: Okłady gorące, naparzanie, smarowanie terpentyną, spirytusem kamforowym, gorczycznik. Herbata z mięty, rozmarynu, lipy.

KRONIKA.

Napad bandycki w Krakowie. W Krakowie dokonano niezwykle śmiałego napadu bandyckiego. Do pewnego domu przy ul. Zygmunta Augusta wezwano lekarza Dra Kellera do rzekomo chorej osoby. Po przybyciu lekarza dwóch mężczyzn, znajdujących się w mieszkaniu, związało go i wymusiło na nim, by napisał bilet do prof. uniwersytetu Glatzla z wezwaniem do natychmiastowego przybycia na konsyljum do chorego. Po przybyciu Dr Glatzel został pod groźbą rewolwerów ubezwładniony. Bandyci zażądali, by dał im 4 000 dolarów. Wobec tego, że prof. Glatzl nie miał przy sobie żądanej sumy, zmuszono go, by napisał bilet do żony, odbierając mu równocześnie 150 zł., które miał przy sobie. Po pewnym czasie żona Glatzla, otrzymawszy wizytówkę, podjęła w jednym z banków 4 000 dolarów i udała się pod wskazany adres. Tam bandyci zabrali pieniądze, związali wszystkich obecnych, oświadczając przed wyjściem, że klucz oddadzą służącej państwa Glatzlów. Po wyjściu bandytów uwięzieni wszczęli alarm i po uwolnieniu zawiadomili telefonicznie służącą i stróża domu, że zjawi się tam bandyta z kluczem. W chwili, gdy policja wchodziła do mieszkania prof. Glatzla, spotkała wychodzącego z domu jednego z bandytów, który na widok policji strzelił dwukrotnie do posterunkowego chybiając, poczem usiłował kilkoma strzałami pozbawić się życia. Rannego bandytę odwieziono do szpitala, odbierając mu owe 4.000 dolarów, które miał przy sobie. Według dochodzeń policyjnych, w napadzie brali udział Tomasz Sławiński, fryzjer, nieletni syn jego Tadeusz oraz Bagryczewicz. Wszyscy z Brześcia nad Bugiem. Bandyci przybyli do Krakowa przed kilku dniami i wynajęli mieszkanie, w którym odbył się napad, rzekomo na urządzenie pracowni dentystycznej.

Krwawe zajścia w Jaworznie. W ubiegłym tygodniu odbyła się w Jaworznie konferencja w sprawie obniżki płac robotniczych w Gwarectwie węglowem w Jaworznie, na której przedsiębiorcy ustąpili z zajmowanego stanowiska żądania obniżki płac. Mimo to udało się komunistom, przybyłym z Sosnowca i Dąbrowy, podburzyć tłum. Na rzucone przez agitatorów hasło ruszenia na kopalnię „Piłsudski“ wyruszył tłum z zamiarem zdemolowania i zatopienia kopalni. Po wywaleniu bramy tłum począł demolować portjernię i zaatakował kamieniami i strzałami rewolwerowemi kilku posterunkowych, pełniących służbę na kopalni. Zaatakowani posterunkowi, mając wśród siebie dwóch poważnie rannych, oddali w powietrze strzały ostrzegawcze, a gdy to pozostało bez skutku i tłum dalej atakował posterunkowych strzałami i kamieniami, posterunkowi zrobili użytek z broni, w następstwie którego padło 4 zabitych i 7 rannych. Pozatem jedna kobieta odniosła ranę postrzałową od kuli rewolwerowej, pochodzącej z tłumu. Zaatakowanym posterunkowym przybył na pomoc oddział policji, który rozprószył demonstrantów. Część jednak demonstrantów udała się w stronę Byszyny, gdzie na szosie wzniesiono zaporę z kamieni. Ale i tu policja rozpędziła demonstrujących. W nocy zapanował spokój. Biedni ludzie. Jedni przepłacili posłuch komunistów życiem, inni odpokutują prawdopodobnie w więzieniu. Oto do czego prowadzi komunizm.

Napad na starca pod Łańcutem. Z Łańcuta donoszą, że w lesie gminy Smelarczyny powiat Łańcut, nieznany sprawca napadł na 70-letniego starca Leiba Ofentera, handlarza drobiu. Starzec, uderzony twardem narzędziem w głowę, oddał bandycie 20 zł. Za bandytą zarządzono pościg.

Poświęcenie sztandaru. Z Krzemienicy, powiat Łańcut, piszą nam: W dniu 14 maja br. mieliśmy tutaj wspaniałą uroczystość: Poświęcenie sztandaru Stowarzyszenia polskiej młodzieży męskiej. Stowarzyszenie chłopców w wieku pozaszkolnym zapoczątkowane przed kilku laty zorganizował nasz czcigodny katecheta ks. Wojciech Rojek, który od trzech lat z zapałem oddaje się naszej młodzieży tak męskiej jak żeńskiej. Młodzież chętnie garnie się do Stowarzyszenia, w którem widzi jedyne schronienie przed niebezpieczeństwem doby obecnej. Poświęcenie sztandaru i wbijanie gwoździ pamiątkowych odbyło się po nabożeństwie i okolicznościowem kazaniu, obok kościoła przy udziale licznych gości między nimi p. starosty z pow. łańcuckiego. Obfite składki na cele sztandaru złożone świadczą o tem, że ogół rozumie błogosławione skutki, jakie wypłyną z organizacji naszej młodej generacji. *W. Pasierb*, uczestnik.

Wielki pożar w Marjampolu. W Marjampolu powstał pożar w mieszkaniu Djonizego Kostańskiego, gdzie pod nieobecność domowników bawiła tylko 7-letnia córka gospodarza, Anna Kostańska. Dziewczynka ta, bawiąc się zapałkami, podeszła do stogu siana. Od zapałki zajęło się siano i w mig płomienie ogarnęły całe zabudowanie gospodarstwa Kostańskiego. Wskutek wiatru pożar szybko się rozprzestrzeniał. Ogółem spłonęło 22 gospodarstwa wraz z budynkami gospodarczymi i inwentarzem martwym. Z inwentarza żywego spłonęły 2 wieprze, oraz około 50 sztuk drobiu. Na pomoc pospieszyło kilka oddziałów straży pożarnych, które po dłuższej akcji ogień zlokalizowały. Nie obeszło się bez kilku wypadków zemdleń i dramatycznych scen, szczególnie wśród mieszkańców, którzy powróciwszy z pracy do domów, zastali już tylko zgliszcza. Szkoda wynosi około 100.000 zł.

Bestjalski ojczym. Ze Złoczowa donoszą: W Złoczowie odbył się pogrzeb w bestjalski sposób zamordowanego 21-letniego robotnika Józefa Kłaka, z Worokdaków za Złoczowem. Kłak mieszkał u swej matki w Worokdakach, która niedawno wyszła zamąż za 38 letniego Prokopa Owczara, a do pracy chodził do pobliskiego Złoczowa. Onegdaj wieczorem Kłak powróciwszy do domu, zażądał od matki kolacji. Gdy ta mu odmówiła, wziął sobie sam jedzenie. Matka zareagowała na to, że uderzyła go dwukrotnie w twarz, a ponadto ojczym również go kilkakrotnie spoliczkował. Pobity chłopiec począł krzyczeć. Wówczas przyskoczył do niego Prokop Owczar i nożem kuchennym zadał mu 18 cięć, masakrując go w okropny sposób. Nieszczęśliwą ofiarę bestjalstwa ojczyma przewieziono do szpitala, gdzie w ciągu nocy zmarła. Zbrodniarza aresztowano. W czasie pogrzebu tłum usiłował zlynczować wyrodną matkę, której z trudem udało się zbiec.

Oberwanie się chmury. W ubiegłym tygodniu nastąpiło w pow. bóbreckim oberwanie się chmury na terytorjum gminy Mołodyńcze-Bortniki. Woda wysokości 2 metrów zalała okoliczne pola w nizinach i podmyła tor kolejowy koło wsi Mołodyńcze na przestrzeni 300 metrów, wskutek czego przerwaną została komunikacja kolejowa. Pociąg osobowy ze Lwowa został zatrzymany na stacji Bortniki aż do naprawienia toru kolejowego.

Zagadkowe morderstwo. W Częstochowie ujawnione zostało zagadkowe morderstwo 72-letniej nauczycielki prywatnej Julji Szanserówny, zamieszkującej pokoik przy przedszkolu miejskiem przy ul. Dąbrowskiego. Szanserównę znaleziono w jej pokoiku z poderżniętem gardłem, pod grubą kołdrą, którą morderca ją nakrył, chcąc prawdopodobnie w ten sposób zadusić swoją ofiarę. Zmarła pochodziła ze znanej rodziny ziemiańskiej. Morderstwo ma wyraźne tło rabunkowe. Tragicznie

zmarła nie posiadała znaczniejszych środków poza kilkoma tysiącami złotych, ulokowanemi na hipotece.

Tajemnicze zniknięcie oficera. W pierwszych dniach maja r. b. z Jarosławia w b. Kongresówce do Rembertowa do dywizjonu manewrowego przeniesiony został kapitan 24 p. art. polowej, Jerzy Antosiewicz. Po kilku dniach służby w dywizjonie kap Antosiewicz zwrócił się do swego dowódcy z prośbą o udzielenie mu kilkudniowego urlopu zdrowotnego. Po zakończonym urlopie kapt. Antosiewicz nie zjawił się do służby i wszelki ślad po nim zaginął. W sobotę ubiegłego tygodnia do dowódcy dywizjonu manewrowego w Rembertowie nadszedł list pisany przez kapt. Antosiewicza, w którym ten pisze, iż nerwy jego nie wytrzymują, jest bardzo wyczerpany i nosi się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Cechą charakterystyczną listu tego jest fakt, iż list ma pieczęć poczty katowickiej. List o podobnej treści otrzymało również kilku kolegów zaginionego kapitana. O tajemniczem zaginięciu kapt. Antosiewicza dowództwo dywizjonu manewrowego zawiadomiło wojskowe władze sądowo-śledcze, z których ramienia prowadzi śledztwo podprokurator wojskowego sądu okręgowego. Śledztwo prowadzone jest na terenie Jarosławia oraz na terenie Katowic. Co było powodem zaginięcia oficera, dotychczas nie ustalono. Z treści jego listu wynikałoby, że nosi się on z zamiarem popełnienia samobójstwa. Zagadkowo natomiast przedstawia się sprawa jego wyjazdu do Katowic. O jakichkolwiek nadużyciach pieniężnych nie może być mowy, gdyż kapt. Antosiewicz znany był ze swego spokojnego trybu życia, a czynności jego nie miały związku z pieniędzmi skarbowemi.

Napad na wycieczkę szkolną. W lesie wilanowskim koło Warszawy zdarzył się niesłychany wypadek pobicia i rozpędzenie wycieczki szkolnej z Warszawy przez uzbrojonych w kłonice i kije chłopów. Zaście to miało przebieg następujący. Uczniowie czterech wyższych klas gimnazjalnych udali się pod kierunkiem dwóch profesorów na całodzienną wycieczkę do Wilanowa. Po zwiedzeniu pałacu wycieczka udała się do pobliskiego lasu, gdzie rozłożono się obozem na polance. Kilku udało się po wodę do picia. Przyniesionej w wiadrze wody nie starczyło, wobec czego wysłano drugiego chłopca 19-letniego Czesława Ciesielskiego. Dozorca ogrodu hrabiego Branickiego Jan Matysiak odmówił jednak wydania wody i obrzucił chłopca obelżywemi wyzwiskami. Chłopiec powrócił bez wody i opowiedział profesorom przygodę. Po chwili nadbiegło do lasu kilkunastu chłopów z laskami i kłonicami. Chłopi rzucili się na Ciesielskiego i całą wycieczkę. Ciężko pobity Ciesielski padł nieprzytomny na ziemię. Część napadniętych schroniła się na posterunku policji w Wilanowie. Wezwano pomoc policyjną i lekarską z Warszawy. Śledztwo prowadzi powiatowa komenda policji w Warszawie. Dozorca Matysiak został aresztowany.

Dziewczynka w zębach ogiera. We wsi Olchowce, pow. baranowickiego, na przechodzącą 13-letnią Aleksandrę Filipczykównę rzucił się ogier, którego puszczono na paszę, i, chwyciwszy ją zębami, począł z całej siły rzucać o ziemię. Na rozpaczliwy krzyk dziecka przybiegli ludzie i zdołali jeszcze wyrwać je rozszalałemu zwierzęciu. Ciężko pokaleczoną Filipczykównę odwieziono do szpitala.

Pożar wsi. We wsi Wichosielce, powiatu baranowickiego, w zabudowaniach Grzegorza Doniosza z nieustalonej przyczyny wybuchł pożar, który przy silnym wietrze przeniósł się na całą niemal wieś. Pożar zniszczył doszczętnie 40 budynków mieszkalnych, 25 stodół, 13 chlewów i żywy inwentarz. Ogólne straty wynoszą przeszło 300.000 zł. W płomieniach znalazła śmierć 2-letnia dziewczynka. Na miejsce pożaru udał się starosta baranowicki.

Wielki pożar lasu. Onegdaj powstał groźny pożar w lesie państwowym w obrębie leśnictwa Knija, pow. tucholskiego, który zniszczył blisko 28 ha 50-letniego drzewostanu. Wskutek posuchy i silnego wiatru pożar rozszerzał się z dużą szybkością, obejmując prawie jednocześnie kilka rewirów leśnych. Straty powstałe wskutek pożaru wynoszą około 200 tysięcy zł. Pożar zdołano wreszcie zlokalizować. Pożar powstał przypuszczalnie od iskry z przejeżdżającego pociągu.

Napad na kupców. Dwaj kupcy z Czerniowiec: Wittner i Nelinger, wyjechali w interesach handlowych do pewnego miasteczka, a zabawiwszy tam dłuższy czas, chcieli koniecznie jeszcze tego samego dnia powrócić. Ponieważ żaden pociąg w stronę Czerniowiec już nie odchodził przeto obaj kupcy wynajęli furmankę chłopską, którą zaraz wyruszyli w drogę.



W chwili, gdy kupcy wjechali w las, wypadło nagle kilku rozbójników, którzy wstrzymawszy konie, ściągnęli z wozu obydwóch podróżnych i woźnicę na ziemię i zagroziwszy śmiercią, zażądali wydania pieniędzy. Przerażeni podróżni nie usiłowali się bronić i chcieli już dobrowolnie pieniądze wydać, lecz w tej chwili padły nagle z krzaków trzy strzały i wołania: „trzymaj!“ co widząc bandyci, umknęli i znikli w ciemnym lesie. Zbawienne owe strzały dał leśny miejscowy, który w chwili krytycznej przypadkowo nadszedł i widząc co się święci, w ten sposób przeszkodził bandytom w ograbieniu podróżnych.

Tajemnica pustej willi. Na ulicach Paryża ukazuje się codziennie jakaś tajemnicza dama. Znają ją dobrze mieszkańcy pięknej dzielnicy paryskiej Passy, przylegającej do Lasku Bulońskiego. Jest to stara wysoka kobieta, o czerwonej, jakby spuchniętej twarzy. Wychodzi niezmiennie dwa razy dziennie na ulicę, ubrana w sposób więcej, niż dziwaczny. Ma na sobie suknię balową, modną przed laty 25 ciu, boa z piór oraz olbrzymi kapelusz, przybrany brudnemi kwiatami i piórami. Boa są podarte, suknia w strzępach, kapelusz przekrzywiony. Kobieta mówi głośno do siebie, ale nigdy nie rozmawia z nikim z przechodniów. Gdy ją ktoś zawoła, lub gdy ulicznicy ją przedrzeźniają, podnosi do oczu dłoń, jak wytworną lornetkę i patrzy chwilę w milczeniu, potem odchodzi. Z zapadnięciem zmroku ów upiór wychodzi z domu poraz drugi. Szybkim krokiem biegnie w stronę Lasku Bulońskiego, tu w dzielnicy will zatrzymuje się za kratą, otaczającą jeden z ogrodów prywatnych. Stoi tam willa od wielu lat niezamieszkana. Kobieta długo stoi za sztachetami, wpatrzona w zamknięte ciemne okna. Potem potrząsa głową, jakgdyby

chciała coś powiedzieć, stoi jeszcze chwilę i szepcąc do siebie: „Nie wróci...“, odchodzi. Powtarza się to codziennie od wielu lat... Jaką tajemnicę kryje to biedne obłąkane serce? Jaka tajemnica zamknięta jest w murach pustej willi?

Żywcem pogrzebana. Reformy, które wprowadził Kemal Pasza w Turcji, nie pozostały bez echa w innych krajach, dokąd postęp nie doszedł jeszcze. Oto w Chinach zbudziła się wśród tamtejszej młodzieży silna reakcja przeciwko tyranizowaniu jej przez rodziców. Chodzi w tym wypadku o małżeństwo. Jak wiadomo, w Chinach rodzice wyszukują dla swoich córek mężów i dla synów żony. Że taki przyszły kandydat czy kandydatka do stanu małżeńskiego nie zawsze odpowiada życzeniom stron zainteresowanych, nie trzeba wyjaśniać, W tych dniach w Charbinie w Mandżurji ojciec pogrzebał żywcem córkę, która nie chciała się zgodzić wyjść za mąż za narzuconego jej człowieka. Młodzież miejscowa odkopała nieszczęśliwą ofiarę przemocy rodzicielskiej i doprowadziła do przytomności, poczem dziewczyna znikła z Charbina bez śladu W kilka dni później dom okrutnego ojca został podpalony, tak, że człowiek ów stracił w ogniu cały swój majątek. Ponieważ nowy rząd chiński sprzyja młodzieży, wydał edykt, mocą którego każdy młodzieniec i każda dziewczyna po ukończeniu 20 lat życia mają prawo wybierać sobie sami małżonków. Więc władza rodzicielska w Chinach chwieje się coraz bardziej.

Biały Chińczyk. Zabawną, ale wcale niemiłą historję przeżywa obecnie nasz rodak w Ameryce — Jerzy Smaga. Starał się on o otrzymanie obywatelstwa amerykańskiego. W ubiegłym tygodniu p. Smaga stanął przed t. zw. naturalizacyjnym egzaminatorem, którego zadaniem jest badanie osób, ubiegających się o obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Jerzy Smaga, syn polskiego inżyniera, pracującego w Azji, urodził się w Mandżurji, następnie przez szereg lat mieszkał z rodzicami w Syberji, a ostatnio w Japonji. Przed trzema laty Smaga przybył do Detroit, gdzie pracuje jako rysownik w jednej z większych firm.

— Wszystko pięknie — rzekł do niego „egzaminator naturalizacyjny“ — ale pan jesteś Chińczykiem.

— Nic podobnego — oburzył się Smaga, w którego żyłach płynie czysta krew polska, — jestem Polakiem z dziada-pradziada.

— Choć pan twierdzi, że jest Polakiem, nie jest nim, ponieważ urodził się pan w Chinach — tłumaczył „egzaminator naturalizacyjny“. Sprawa jest bardzo zawikłana.

I postanowił odesłać ją do Waszyngtonu celem uzyskania miarodajnych wyjaśnień władz wyższych. A Jerzy Smaga z niepokojem oczekuje, czy władze centralne nie zechcą w dalszym ciągu wmawiać w niego, iż jest Chińczykiem, choć skórę ma białą jak mleko. I potrosze cieszy się, że nie urodził się w Ameryce, bo usiłowanoby wmówić w niego, iż jest Murzynem, co w Ameryce do przyjemności nie należy. Pesymiści twierdzą, że Polska jest krajem rekordowej biurokracji. Historja białego Chińczyka zdaje się mówić, że i w tej dziedzinie Ameryka nie ma zamiaru dać się wyprzedzić Staremu światu.

Pomysłowa kobieta. W Nowym Orleanie w Ameryce miało miejsce zdarzenie ogromnie charakterystyczne dla stosunków amerykańskich. Przed 18 laty pan X. zakochał się w miss M. Gdy ukochana dała mu do poznania, iż pragnie być jego żoną, pan X. oświadczył jej, że pobiorą się wówczas, gdy umrze bogaty wuj pana X, po którym młodzieniec dziedziczy majątek. Pan X. uspakajał narzeczoną, że wuj jego chory jest na raka, więc wkrótce umrze. Tymczasem mijały lata, wujaszek cieszył się doskonałem zdrowiem, a miłość młodej pary zamiast rosnąć, malała. Wreszcie pan X. i panna M. przestali się zupełnie widywać. Upłynęło lat 18. I oto pewnego dnia miss M. przeczytała w gazecie wiadomość o śmierci wuja pana X. W głowie jej zaświtała świetna myśl. W szufladzie panieńskiego biurka pod stosem pożółkłych pamiątek znalazła list, w którym pan X. obiecywał jej małżeństwo po śmierci wuja. List ten zaniosła adwokatowi i zażądała małżeństwa albo... 200 tysięcy dolarów odszkodowania za stracone nadzieje. Pan X, znając prawa swego kraju, przeraził się nie na żarty i zaproponował miss M. 10 tysięcy dolarów, by zrezygnowała ze sprawy. Pomysłowa dama zgodziła się na 10 tysięcy i wyszła zamąż za innego: przyjaciela z czasów dzieciństwa.

Miljoner mordercą. Gazety amerykańskie pełne są opisu krwawej sceny, która rozegrała się onegdaj w jednym z najwytworniejszych klubów nocnych Waszyngtonu we wczesnych godzinach porannych. Częstym gościem tego klubu był syn niezmiernie bogatego przemysłowca, młody i elegancki kawaler Robert Montgomerry. Ten złoty młodzieniec znany był z rozrzutnego życia, gdyż ojciec nie szczędził pieniędzy jedynakowi, który marnotrawił je w sposób, zwracający ogólną uwagę. Montgomerry zjawił się już nad ranem w owym klubie w stanie alkoholowego zamroczenia. Wszystkie stoliki były jednak zajęte tak, że gospodarz lokalu nie mógł nigdzie swego gościa umieścić. Gdy w delikatny sposób oznajmił o tem miljonerowi, ten wpadł w istną furję. Między nim a gospodarzem nastąpiła gwałtowna wymiana zdań, która wreszcie doprowadziła do tego, że młodzieniec wydobył rewolwer i strzelił do gospodarza, raniąc go śmiertelnie w brzuch. W klubie powstała szalona panika. Obecne towarzystwo w popłochu rzuciło się ku drzwiom. Tymczasem przywołano policjanta, który zbliżył się ku furjatowi, chcąc go obezwładnić. Ale Montgomerry bronił się zaciekle, a wreszcie wymierzył broń także przeciw przedstawicielowi władzy. Huknął strzał, a nieszczęśliwy policjant, ugodzony w głowę, runął na ziemię bez życia. Zanim zdołano wyrwać broń szaleńcowi, skierował on ją ku swoim ustom i strzelił, popełniając samobójstwo. Straszliwa ta scena rozeszła się w Ameryce szerokiem echem, budząc bardzo silne wrażenie. Pożałowania godny jest stan starego Montgomerryego, który na wiadomość o tragicznej śmierci jedynaka popadł w rozpacz tak ogromną, że lekarze obawiają się o stan jego umysłu.

Małpa w pułapce. Donoszą z południowej Afryki, że olbrzym pawjan wdarł się do domku farmera. Podczas nieobecności rodziców z pobliskiego lasu wyszedł wielki pawjan, który, usłyszawszy głosy dziecięce w domu, skierował się wprost ku zagrodzie farmera. Kiedy matka, która pracowała w ogrodzie, ujrzała małpę, biegnącą w stronę otwartych drzwi, nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo, rzuciła się za pawjanem. W okropnem przerażeniu wpadła do mieszkania. Tu spostrzegła, że małpa znajdowała się dopiero w kuchni na parterze domu. Nie tracąc przytomności umysłu, zatrzasnęła pani King natychmiast drzwi kuchni. Z zewnątrz zamknęła je na zasuwę. Ponieważ wszystkie pokoje na dole miały okna okratowane, przeto małpa znalazła się w potrzasku. Zdobywszy się na ten bohaterski czyn, kobieta zemdlała. Po krótkim czasie powracający z pracy King usłyszał zdaleka płacz dzieci, które myślały, że matka umarła. Farmer biegł co sił. Dobiegając do drzwi, ujrzał ogromnego pawjana, wybijającego szybę w kuchni. Ocucił zemdloną żonę i wysłuchawszy jej opowiadania, zastrzelił pawjana, który wszystko w kuchni pogruchotał.

RZECZY CIEKAWE.

Miasta wykute w skale.

W Małej Azji, w prowincji Kapadocji nad rzeką zwaną w starożytności Halys, leży zaczarowana kraina pięciu tysięcy kolumn. Wśród drzew owocowych i winnic znajdują się tam olbrzymie bloki skalne, zbudowane z t. zw. wulkanicznego tufu, skały nadzwyczaj miękkiej. Bloki te mieszczą w sobie niezliczoną ilość jaskiń i pieczar. Niektóre z nich wyżłobiła woda. Większość jednak stanowi dzieło ręki ludzkiej. Pieczary te piętrzą się jedna nad drugą, a dostęp do nich stanowią schody w ścianach wykute.

Jaskinie te powstały między 8 a 13 stuleciem naszej ery. Stworzyli je i zamieszkiwali mnisi chrześcijańscy. W wielu jaskiniach do dziś dnia zachowały się malowidła ścienne, całe ściany pokryte są freskami malowanemi w stylu bizantyńskim, przedstawiające motywy chrześcijańskie. Freski te zachowały się bardzo dobrze. W podziemnych jaskiniach mieszczą się całe starodawne, dziś opuszczone kaplice i kościoły.

Dzisiaj jaskinie te służą za mieszkanie ubogim chłopom, trudniącym się uprawą roli i winnic. W wielu niezamieszkałych grotach gnieżdżą się całe stada gołębi, przez tubylców uważanych za święte ptaki. Niektóre z owych pieczar służą jako spichrze na zboże, do czego się znakomicie nadają, dzięki swej suchości. Trzyma się w nich zboże znakomicie nawet i przez czterdzieści lat, nie psując się, a ziarna jego zachowują zdolność kiełkowania nawet przez trzydzieści lat.

Powonienie u ryb.

Zmysł powonienia u ryb jest silnie rozwinięty. Posiadają one nos, służący atoli jedynie jako organ powonienia, do oddychania bowiem mają oskrzele. Między oczami a pyskiem znajdują się dwa otwory z kanałami, któremi bezustannie przepływa woda. W kanałach umieszczone są tkanki, reagujące na wońprzepływającej wody.

System nerwów powonieniowych czynny jest u ryb nietylko w nosie, lecz na całem ciele znajdują się kończyny nerwowe, sięgające aż do ogona. Specjalne macki u pyska służą u niektórych ryb temu samemu celowi. Badania celowości tego urządzenia u suma dały następujące wyniki: Ryba ta żyje przeważnie w mule. Gdy w pobliżu jej ogona znajdzie się robak w mule, poczuje go sum ogonem, odwraca się szybko i połyka go.

Dla uzyskania ścisłych wyników co do zmysłu powonienia u ryb, czyniono z oślepionemi rybami następujące doświadczenia: dawano im przez pewien czas pokarm w postaci mięsa wygotowanego, zaprawionego rozczynem o specjalnym zapachu. Nie mogące widzieć mięsa ryby reagowały później tylko na mięso zaprawiane znanym im zapachem, podczas gdy na inne mięso nie zwracały uwagi. Nawet, kiedy rzucono do wody kuleczki z waty odpowiednio zaprawione znanym rybom zapachem, poczęły one szukać domniemanego pożywienia.

Dwie kobiety na jednym tronie.

Jedynem państwem na całej kuli ziemskiej, geograficznie należącem do Indochin francuskich, gdzie na tronie królewskim zasiadają równocześnie dwie kobiety, jest małe państewko Laos. Krajem rządzą siostry bliźniaczki Thasa i Insati, urodzone mniej więcej przed 30 laty. Ich zmarły ojciec, nie mając w tym kierunku wskazówek w historji państwa, wydał ustawę, na mocy której, o ile po jego śmierci obie córki będą przy życiu, tron miał przejść w ich nierozłączne posiadanie. Tak się też stało. Królowe Thasa i Insati rządzą szczęśliwie, są bardzo do siebie przywiązane i — o ile wiadomo — nigdy jeszcze się nie pokłóciły.

Mieszkańcy Laosu uwielbiają je i przyjmują ich rozporządzenia, jako owoce mądrości i sprawiedliwości. Laos ze względu na piękną tam przyrodę i łagodność mieszkańców można uważać za prawdziwy ogród rajski... W tym kraju nikt nie pracuje ponad potrzebę, a główniejszą rozrywką młodzieży to śpiew i tańce. Religja państwa zbliżona jest do budyzmu.

Liczba adwokatów na Węgrzech.

Według sporządzonej ostatnio statystyki, liczą Węgry przeszło 6 tysięcy adwokatów. W samym Budapeszcie jest więcej adwokatów, aniżeli w Berlinie. Zważywszy stosunek węgierskich prawników do reszty społeczeństwa, stosunek liczebny, to Węgry stoją na pierwszem miejscu w rzędzie państw europejskich.

Liczba ta stale wzrasta, jakkolwiek od roku 1926 wzrost ten nieco stopniał. W roku 1919 było na Węgrzech 4.762 adwokatów, a w roku 1925 już 5.690. — Wskutek tej nadliczby, materjalne położenie prawników węgierskich jest niezwykle ciężkie, o czem świadczy sam fakt, że na tylu adwokatów, zaledwie 22 proc. zatrudnia koncypientów. W chwili obecnej przygotowuje się do egzaminu prawniczego znowu 600 praktykantów adwokackich.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wyjaśnienie. W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy od trzech naszych Czytelników, a mianowicie pp.: Władysława Dudy z Trzebini, Leona Procnera z Ryglic i Witolda Urbanka z Kowalowej listy, wytykające nam, żeśmy w „Roli" wystąpili przeciw obniżce płac urzędniczych. W listach tych znajdujemy twierdzenia, jakoby urzędnikom polskim powodziło się znakomicie, jakoby zjadali ciastka, chodzili po teatrach i zabawach, stroili się itp. Twierdzenie to polega zapewne na nieznajomości rzeczy, na nieświadomości, komu obniżono pobory i jakie pobory ci ludzie otrzymywali i otrzymują. Otóż przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że nazwą urzędników, choć niezupełnie właściwie, objęliśmy wszystkich funkcjonarjuszy państwowych, którzy w Polsce są podzieleni na 16 kategoryj. Należą tu wszyscy ci, którzy pełnią służbę państwową, począwszy od woźnego, a skończywszy na prezydencie ministrów.

I jeżeli np. minister, wojewoda, kurator, czy inny dygnitarz państwowy nie odczuje zbyt ubytku kilkudziesięciu czy nawet kilkuset złotych, to ubytek nawet 10 czy 20 złotych musi odczuć boleśnie taki woźny w urzędzie państwowym, czy pracownik kolejowy niższej kategorji, czy kapral lub plutonowy zawodowy, którzy mają niejednokrotnie niższe pobory, aniżeli pomocnik murarski lub inny pracownik fizyczny. Jeżeli taki funkcjonarjusz państwowy miał dotychczas 150 lub 160 zł. miesięcznie, a obcięli mu z tego jeszcze kilkanaście złotych, to chyba ani na ciastka, ani na teatry go nie stać. A takich funkcjonarjuszy państwowych w Polsce jest olbrzymia większość. Zaledwie garść urzędników w Polsce jest dobrze płatna i przeciw obniżce ich poborów nic mieć nie możemy.

Nieprawdziwem jest również twierdzenie, jakoby nauczycielstwo pobierało zbyt duże pensje. Conajmniej trzy czwarte części nauczycielstwa nie otrzymuje miesięcznie więcej ponad 200 do 300 złotych. Czy to jest zadużo, śmiemy wątpić. Wszak nauczyciel taki nie zostawi dziecku ani pola, ani domu, a przecież przyszłość zapewnić mu musi; musi dziecko to posłać do szkół. Utrzymanie dziecka w szkołach wynosi obecnie (samo utrzymanie) do 100 złotych. A gdzie książki, gdzie pieniądze na przyjazd na święta, czy wakacje? A cóż wtedy, gdy trzeba do szkół posyłać nie jedno, ale więcej dzieci?

Występując w obronie urzędników, wystąpiliśmy tem samem i w obronie robotników. Bo cóż się nie działo. — Oto przedsiębiorcy wszelakiego rodzaju, idąc za przykładem rządu, poczęli obniżać zarobki robotnikom. I to nie dyrektorom kopalń czy fabryk, którzy biorą po kilka a nawet kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie, ale tym biedakom, którzy częstokroć nawet na lichą strawę zarobić nie mogą. A chyba każdy przyzna, że tej szarej rzeszy robotniczej nie obniżać pobory, ale je podwyższyćby należało.

Nie przeczymy, że i na wsi bieda, jakiej jeszcze nigdy nie bywało. Chłop pracuje od świtu do nocy i nawet na liche ubranie nie może grosza uciułać. Ziemniaczkami i barszczykiem żyje przeważnie sam i tem karmi swoją rodzinę. A jaki grosz uskłada za jajka, czy inny produkt swojego gospodarstwa, to musi to przechowywać na zapłacenie podatków. Nie wesoło naszemu wieśniakowi i nie wesoło wieśniakom w innych państwach, bo kryzys gospodarczy panuje w całym świecie. I nie na wsi szukać pieniędzy na poprawienie skarbu państwa.

A pieniądze być muszą, bo inaczej państwo nie mogłoby egzystować. Lecz gdzie ich szukać? Obcinanie poborów niższym funkcjonarjuszom państwowym nie doprowadzi do celu, bo jeszcze więcej wytworzy nędzarzy w kraju, podwyższać się podatków nie da, bo już śruba podatkowa jest nakręcona do ostateczności, ale przecież pozostają jeszcze inne sposoby,do których należy oszczędność A oszczędzić można na wielu rzeczach, które może i są potrzebne, ale które do lepszych czasów odłożyć można.

P. Procner bierze w obronę wdowy powojenne i twierdzi, że w jego miejscowości niema takich, któreby się za otrzymane pieniądze bawiły. Toć i chwała Bogu, ale w innych miejscowościach są i jest ich dość dużo, dlatego też pisaliśmy, że trzebaby tę sprawę zbadać i kto rzeczywiście potrzebuje, powiększyć jego zasiłek, ale kto używa pieniędzy na zabawy i lampartki, tego chyba wspierać nie należy.

I jeszcze jedno. Pisząc, że jest za wielu urzędników, nie mieliśmy na myślyi, aby kogoś pracy pozbawiać, bo chyba nikt tego zdrowo myślący żądać nie może, lecz ograniczyć liczbę urzędników można przez nieprzyjmowanie nowych, przez powolne znoszenie urzędów niepotrzebnych, co przecież w dużej mierze odciążyłoby budżet państwowy. A w urzędach nie bawić się w niepotrzebną biurokrację, w zbyteczną pisaninę, ale załatwiać sprawy szybko i sprawnie. A dziś jak jest? O to znamy przykład, że na napisanie świstka papieru unieważniającego książeczkę kasową potrzebował Sąd krakowski czterech lat czasu. A inny przykład: Ktoś, chcący opłacić opłatę skarbową, udał się w kwietniu do Izby skarbowej w Krakowie, tu powiedziano mu, że jeszcze książki na rok 1931 nie zaprowadzone, więc nie mogą przyjąć pieniędzy. Kasy państwowe próżne, a urzędnicy nie chcą brać pieniędzy.

Pp.: **Ludwik Daniłkiewicz** w W.: Z zagadek skorzystamy w miarę miejsca. **Jan Pelczar** w W. S.: Nadesłany artykuł zamieścimy. Na przyszłość wolelibyśmy na bardziej świecki temat, gdyż nie chcemy zbyt wchodzić w cudzy zakres działania. **Stanisław Siwiec** w M.: Możemy gorąco zalecić zakupno węzy sztucznej u p. Edwarda Radomskiego w Klewaniu 2. Jest ona tańsza, niż gdzieindziej, a przytem bardzo dobra. Ja np. dałem ramkę z tą węzą 15 maja, a już niemal cała następnego dnia była nietylko wykończona, ale i zaczerwiona. Oczywiście dałem ją do pnia silnego z zeszłoroczną matką. **G. J. Z.:** Nie wiemy nic w tej sprawie, więc nie możemy udzielić informacyj. **Dziewczę z Podhala:** Współczujemy serdecznie boleści Pani, ale trzeba się z losem pogodzić, gdyż niezbadane są wyroki Boskie. Życie, jak ten pyłek: jest i uleci, a nikt go pochwycić nie zdoła. Wierszyk, jakkolwiek posiadający pewne braki literacki, czytaliśmy z prawdziwem wzruszeniem; jest on pełen takiej boleści, że mimowoli wyciska łzy w oczach. **B. B.** w W.: Nie zamieścimy. **„Laur":** Wiersze w formie poprawne, ale w treści banalne. **Jan Więcek** w J.: Z Nr. 20 trzeba skrajny kupon odciąć, wypisać na nim swój adres, włożyć do koperty, zaadresować Dr. med. H. Schulze, G. m. b. H., Charlottenburg 2/4071, następnie przylepić znaczek poczt. za 10 gr. i nie zaklejając koperty, posłać.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

ścig	rych	tem	wy	był	sy	jak
był	ścig	wy	kto	przed	dzie	tem
zna	że	cy	ścig	puzed	za	oza
pra	wy	mie	ła	dą	kvwi	bę
			i	jak	ulem	

Ruchem konika szachowego odczytać słowa, wypowiedziane przez marszałka Józefa Piłsudskiego.

2. Zagadki.

(Ułożył Marjan Wietrzny z L.).

I.

Wprzód to ryba w naszych wodach żyjąca,
Wspak zaś rzeka gdzie są stałe gorąca.

II.

Wprzód cukiernicy wyrabiają,
Wspak jest tam gdzie drzewa obrabiają.

III.

Czytając zwyczajnie to wóz tramwajowy,
Odwrotnie zaś napój wyskokowy.

IV.

Wprzód to nasz śpiewający ptak,
A to co wyrabiają z owoców czytaj na
[wspak.

3. Zagadka rachunkowa.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

Pewien właściciel hotelu zakupił sto sztuk drobiu i zapłacił za wszystko sto złotych, kurczęta płacił po 50 gr., kaczki po 3 zł., gęsi po 5 zł. Ile było kurcząt, kaczek i gęsi.

3. Przestawianki.

(Ułożył Kula W. z M K.).

I.

Mieczysław Brrajnt przeprowadzi Zosię borem.

II.

Sąsiad Romuald Bąk dał Zofji mapę gór.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

4. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie (zdrob.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rodzaj powieści.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto pow. (w Małp.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mamy w śpiewie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Instrument muz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kukułka.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko historyka polskiego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5 czerwca.

Znaczenie zagadek z Nru 20 „Roli": 1. Konikówka: „Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się? Mądry milczał. Gdy coraz bardziej naprzykrzą się, rzekł mu: Na to się przyda według mego zdania, żeby nie odpowiadać na głupie pytania". 2. Szarady: I. Krytyka. II. Polityka. 3. Zagadka literowa: Kowalczyk. 4. Logogryf: Wincenty Pol. 5. Bilet wizytowy: Czeladnik młynarski.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Wincenty Kula z M. K., Witold Hein z K., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K., Antoni Krótki z M. G., Teofil Burman z K., Kajetan Mazgała z D., Filip Sadowski z M., Karol Bzikała z U., Jan Stypa z I., Karol Kozik z H., Ks. Jan Dziewulski z J., Marja Malczewska z U., Ludwik Grabek z L., Józef Cieplik z K.

Nagrody wylosowali pp.: Ludwik Grabek z L. i Filip Sadowski z M.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Jak to być może?

— Jakżeż ci poszło dzisiaj w szkole, Jasiu?

— Źle, tatusiu, bo mnie pan nauczyciel wybił.

— A to dlaczego?

— Pytał mnie, ile zębów ma człowiek, a ja mu odpowiedziałem: pełną gębę.

„Przygoda".

Na minutę może przed odjazdem pociągu z Warszawy, wybiegł z sali dworca na peron jakiś młody człowiek i biegnąc przed szeregiem stojących wagonów, zaczął krzyczeć:

— Joachim Miller! Joachim Miller!

Prawie jednocześnie z tym krzykiem, z okna jednego wagonu wychyliła się jakaś twarz pucołowata. Młody człowiek spostrzegłszy to, podskoczył do wychylającej się głowy i z całym zamachem ręki wycisnął na pucołowatej twarzy silny policzek, wołając:

— Masz gałganie!...

Prawie jednocześnie z odgłosem policzka dała się słyszeć świstawka i pociąg ruszył w drogę.

Dojechano do pierwszej stacji.

Z jednego wagonu wybiega jak bomba jakiś gruby żyd. Podbiegłszy do naczelnika stacji, zaczął się skarżyć...

— Panie naczelnik! Proszę ratunek!

— Co się stało?

— To się stało, co w biały dzień na kolei rozbijają...

— Gdzie? kogo?

— Gdzie? w Warszawie. Kogo? mnie...

— Kto i co panu zrobił?

— Kiedy pociąg ruszał z Warszawy, jakiś rozbójnik wpadł na peron i zaczął wrzeszczeć: „Joachim Miller! Joachim Miller!". Ledwom głowę wyścibił, gdy ten, co krzyczał „Miller!" przypadł i uderzył mnie z całej siły i krzyknuł tylko: „masz gałganie!" Ja tego nie mogę darowacz, ja chcę, żeby zrobić poszukiwanie! bo to rozbójstwo, on mnie skrzywdził, on mi ubliżył, on powinien iść do kryminału!...

— Wszystko to prawda, ale, czy pan sę nazywasz Miller?

— Niech Bóg broni! Ja się nazywam Kleinwurst.

— Więc cóż to pana może obchodzić? Gdybyś się pan nazywał Miller, to co innego.

I odszedł naczelnik od zdziwionego żyda.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 26 maja b. r.

Pszenica	34·50—35·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	30·00—31·00	Ziemniaki stoł.	8·00—9·00
Owies . .	32·00—33·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	28·50—29·50		
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	47·00—47·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	57·00—59·00
Siano słodk.	15·00—16·00	Otręby pszen.	21·00—21·50
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	20·00—20·50
Koniczpastew.	19·00—21·00	Mąka czerw.	25·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 26 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·22 zł.	Jałownik	od 1·14 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·19 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·30 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogacizne	1·30 do 1·40 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·65 do 1.75